



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Bezplodne słowianofilstwo p. A. S. — Słowa prawdy III. (Dobre chęci) p. M. S. — Opiekunowie p. Szczedryna. — Odpowiedzialność karna p. H. — Paweł Emil Littré (1801—1881) p. I. A. — Leopoldina IX. p. Juniusa. — Kronika wynalazków p. B. A. — Badania Historyczne (Marya Stuart w więzieniu) p. Z. — Piśmiennictwo polskie: Rocznik zbiorowy prac naukowych p. H.; O pęcherzu moczowym p. Dr. T. D. — Liberum veto. — W Perspektywie. — Tydzień polityczny — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Od 1-go lipca r. b. redakcyja „Prawdy”, mieścić się będzie przy ulicy Włodzimierskiej (róg S-to-Krzyskiej), w domu Wgo Walfisza pod nr. 2.

Z powodu zbliżającego się nowego kwartału, upraszamy szan. abonentów prowincjonalnych o wczesne nadsyłanie przedpłaty dla uniknięcia zwłoki lub przerwy w odbiorze pisma. Ci, którzy nie zdążą przesłać pieniędzy a życzą sobie nadal otrzymywać **Prawdę**, zechcą uwiadomić nas o tem listownie.

BEZPŁODNE SŁOWIANOFILSTWO.

Az do ostatnich tygodni bieżąca literatura rosyjska przedstawiała ciekawy widok walki dwu obozów: tak zwanych zachodniowców i słowianofilów. Pierwsi zdjawszy miarę z instytucyj europejskich chcieli według nich przykroić formę życia dla własnego państwa; drudzy, rozdierając i prując zawzięcie tę robotę, wykazywali, że jest to strój, nieodpowiadający naturalnym i historycznie rozwiniętym kształtom Rosyi. Nigdy kłatwa na „zgniły” Zachód nie rozlegała się głośniejsz i nie odbijała się w kolumnach prasy petersbursko-moskiewskiej liczniejszem echem. Uwierzywszy jej, należałoby przypuścić, że ciało Europy od kilku lat psuje się i że jedyną zdrową, a przynajmniej uleczalną jego częścią jest Rosya. Zbyt niedorzecznie brzmi ta nienawiść do „zgniłego Zachodu”, którego cywilizacya karmi świat cały, nie wyłączając jej pogromców, zbyt wreszcie ośmieszona ich maczugami, ażebyśmy tu potrzebowali rozprawiać się z banialuką, któ-

ra stanowi często jedyny posag wielu umysłowych mizerot. W tej chwili idzie nam jedynie o rachunek z politycznej twórczości słowianofilów. Dotąd bowiem robili oni wyłomy w twierdzeniach „zachodniowości”; teraz, jeśli prawda, co głoszą, że nadeszła na nich kolej wytknięcia innego kierunku rozwojowi państwa, warto spytać, jakie na miejsce wywróconych stawiają nowe drogowskazy.

Czy należy cofnąć reformę włościańską? Czy znieść instytucję sądów przysięgłych? Czy usunąć ziemstwa? Czy ograniczyć swobodę stołecznej prasy? Czy zamknąć wyższe zakłady naukowe? Sądząc z dotychczasowego krzyku *N. Wremieni*, *Mosk. Wiedomosti* i *Rusi* (płynących dziś pod jednym żaglem), procesujących się z Piotrem W-im o szkody, wyrządzone przez wprowadzenie cywilizacyi zachodziej, należałoby na te pytania odpowiedzieć twierdząco. P. Aksaków starłby chętnie z tablicy Rosyi całe jej popiotrowskie dzieje, ale coby natomiast chciał napisać, co pisze? Dotąd nie widzimy ani jednego pozytywnego słowa. Co było dotąd od wieku jest złe, ale co dobre — nie wiadomo. Partya konserwatywno-słowianofiliska unieważniła w teorii wszystkie pozycje liberalizmu; gdy jednakże stanęła przed obowiązkiem nakreślenia nowego programu, przed pytaniem: co robić — nagle zamilkła. I dziś jeszcze, jak dawniej, sypie narodowi w oczy plewy, które on przewiewa, a nie znalazłszy w nich ziarna, odrzuca i chwytą nową ich garść w nadziei, że coś przecie odszuka. Odszukać jednak nie może. To też słuszną poniekąd uwagę robi *Gołos*, że „ochrania-cze (*ochranitieli*)” niemają odwagi wypowiedzieć swych ostatecznych myśli. Gdyby byli — powiada — szczerzy, winni by zaproponować natychmiastowe zawieszenie wszystkich czasopism, nienależących do ich obozu; zamknięcie wszystkich zakładów

wyższych, prócz liceum Katkowa; zupełną przemianę sądów, tj. zniesienie jawności a przywrócenie tajemnicy wraz z biuralistyczną pisaniną; usunięcie ziemstw we wszystkich miejscowościach, gdzie instytucje te miały jakiegokolwiek starcie z władzami; wreszcie zesłanie wszystkich tych osób, które kiedykolwiek i pod jakimkolwiek względem ściągnęły na siebie podejrzenie o nieprawomyślność. Właściwie wszystkie te pragnienia dałyby się pośrednio wywnioskować z zapamiętałych wycieczek „ochraniteli” przeciwko liberalizmowi; nie tyle więc we wstrętach spoczywa ich bezsilność, ile w upodobaniach. Niedosć powiedzieć, że Zachód jest „zgniły” a jego naśladownictwo w Rosyi sztuczne i szkodliwe; trzeba jeszcze wskazać, co jest zdrowem, naturalnem i dobroczynnem. Organizacya państwa przed reformą piotrowską? Reakcyoniści mają odwagę wyznać to ogólnie, ale nie mają odwagi zalecać szczegółowo wszystkich instytucyj tej epoki. Dopóki lechtać mogą swe podniebienie frazesem, dopóty go przeżuwać; ale gdy trzeba rozgryźć ów przysmak dawnej tradycyi, mieli językiem, nie mówiąc, że im smakuje.

Nie dziwnego. Rosya może jest jedynym w Europie krajem, nieposiadającym konserwatyzmu umiarkowanego. Jej zachowawcy, nie poprzestając wzorem torysów angielskich na chronieniu tego, co ochrony godne, umieją tylko przeciwstawiać się wszystkiemu, co liberalizm ogarnia, i posuwać się w kierunku przeciwnym, bez względu na to, dokąd on ich powiedzie. To też konserwatystów w rodzaju pp. Katkowa, Askakowa i tp. nie hoduje ani jeden kraj w Europie a nawet nie posiada ich między swymi gatunkami kopalnymi. To nie junkierstwo pruskie, nie feodalizm austriacki, nie legitymizm francuski, ale jakiś żywioł przedhistoryczny, nieznajdujący ani w te-

rażniejszości, ani nawet w oświetlonych dziejach odpowiedniego dla siebie podkładu. Oderwany od życia, wznosi się on w sfery fantazyi, pragnie nieujęte mgły polityczne ukształtować i rzuca się w snach zaludnionych dziwolągami. Gdy wreszcie owe cudaćkie rojenia ma wcielić w postacie żywe, cofa się przed ich urzeczywistnieniem i zdradza swą zależność od tych samych praw terażniejszości, któremi pyśzałkowato gardzi. Bo cokolwiek bredzą przodownicy wsteczni o swej wzgardzie dla zgnilizny Zachodu, nie mogą wyzwolić się z pod jego wpływu, który przenika do ich najniedorzeczniejszych rojeń. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby p. Aksakowowi powierzono dziś przekształcenie państwa, dałaby się bez trudu wykryć w tej jego reformie „zgniła Europa.“ Na stanowisko, które zajęli ludzie tego kroju, nie wprowadziły ich przekonania, lecz wpędziła walka z obozem przeciwnym. Pewien rosyjanin, bacznie śledzący objawy swego narodu, zauważył trafnie, że słabością rosyjan jest nadmierny rozrost popędów wojowniczych, które podsycają potrzebę bojowania, bądź po za domem, bądź w domu. Siła ta, niezużytkowana na zewnątrz, działa wewnątrz i wywołuje owo namiętne wrzenie, owe zajadle starcia żywiołów, stronnictw i poglądów, które odrzucają każdą ze stron na niezwykłą od drugiej odległość. Ona również tłoczy nam posunięcie się konserwatystów rosyjskich na kraniec, przez żaden element pokrewnego charakteru w Europie niezajęty. Gdyby autorów filipik, pisanych często bez namysłu a zawsze jedynie z myślą przeciwstawienia się obozowi wrogiemu, usunąć z pola walki i zmusić ich do spokojniejszego rozważenia rzeczy, przekreśliliby może cały swój rachunek polityczny, do którego dziś odważnie dopisują coraz nowe brednie.

Wodzami tego wstecznego ruchu nazwalismy słowianofilów, chociaż nie wszyscy z nich otrzymali na chrzcie politycznym to imię. Ale właśnie skupienie się ludzi najrozmaitszego przedtem charakteru pod jedną słowiańską, albo lepiej —

cerkiewno-słowiańską chorągwią wykazuje, jak skojarzenie się to nie jest związkiem naturalnym, lecz wynikiem taktyki polemicznej. Pp. Suworin i Katkow, pociągający dziś swymi smyczkami po słowiańskim kontrabasie p. Aksakowa, nie tworzyli z nim dawniej zgodnego tercetu; obecnie grają według jego nut, bo on reprezentuje jakąś ideę, która w narodzie znajduje oddźwięk. Niestety, wódz słowianofilów, zapędzony w ostateczność wsteczną wraz z innymi, zgotował tej pod zdolniejszym kierownictwem zwycięskiej idei dotkliwą porażkę. Pojął on ją nie jako hasło wielkiej rodziny ludów, ale jako sygnał garstki wstecznej. Obecne słowianofilstwo w jego rozumieniu nie jest ani słowiańskim, ani nawet rosyjskim, ale czysto moskiewskim. Nie jest to ani teoria polityczna Pogodina, ani Hilferdynga, ani Chomiakowa lub ich natchnień, tlejących dotąd w dwu lub trzech czasopismach, a ogarniających po bratersku wszystkie narody słowiańskie, lecz systemacik, upleciony z biczów na *Golos*, *Stranę* i *Motwę*. Idla tego po za ciasnem, mimo wrzasku, kółkiem wielbicieli p. Aksakowa lub jego współwyznawców, nie znajduje ten systemacik nigdzie odgłosu, nie budzi uczuć sympatycznych zarówno w Petersburgu, jak w Warszawie, Pradze, Lublanie i Belgradzie. Nikt do niego nie przyczepia swej nici, owszem każdy ją przerywa. Bo i cóż to za *słowianofilstwo*, które w 10 swych przekonaniach i pragnieniach jest słowianozerstwem; co to za idea, która migoce przed oczyma ciemnej gromady? Jakkolwiek p. Aksakow wraz ze swymi księżycami może się łudzić, że w ruch swego obrotu wciągnie wszystkie ciała słowiańskie; dla nas jednak nie ulega wątpliwości, że słowianofilstwo w jego porodzie jest bezpłodnem dla przyszłych losów plemienia, niezdolnem rozwiązać obecnych zagadnień życia Rosyi, bezsilnem wobec jej ciężarów. Przez tę cienką piszczałkę szeroki prąd dziejów słowiańskich nie przepłynie, a jeśli ma toczyć się w tym kierunku, to wyłobi sobie inne, rozleglejsze ujście. Wsteczna, wyłącznie moskiewska teoria

zejdzie ze świata bezpotomnie i nikt z pobocznych spadkobierców nie zapyta o jej testament, bo nie będzie chciał objąć po niej dziedzictwa, obciążonego długami, przenoszącymi o wiele wartość legatu.

A. S.

SŁOWA PRAWDY.

III.

(Dobre chęci).

„Od kilkudziesięciu lat istnieje w Europie tak zwana kwestya polska. Niekiedy staje się ona przedmiotem poważnych rozmyślań gabinetów, niekiedy, jakby przychylając się, ucicha, i znów potem, wysuwa się na plan pierwszy, siejąc niepokój i trwogę w całym ucywilizowanym świecie.“ Temi słowy p. M. Szygaryn rozpoczyna swą, naprzód po rosyjsku aświeżo po polsku wydaną, broszurę p. t. *Czego potrzeba dla naszego zbliżenia się z polakami?* Jest w tych słowach nieco przesady, ale jest także dużo prawdy. Mimo tylokrotnie odśpiewanych egzekwii i pogrzebów, „kwestya polska“ ciągle się zjawia i tuła jeśli nie po gabinetach, to w każdym razie po dziennikach. W obecnej chwili orzech ten gryzą głównie zęby prasy rosyjskiej. Prasa prusko-niemiecka, przekonana, że jej zdobycz dogorywa, dobija ją tylko od czasu do czasu kolbami swej celnej broni; austriacka, pogodziwszy się z faktem politycznego dźwignięcia Galicyi, targuje się z nią jedynie o resztki równouprawnienia; najbardziej więc splątany węzeł gordyjski Królestwa najliczniejsze wywołuje próby rozsucia go lub rozcięcia. Dotychczas pracują niemal wyłącznie ręce rosyjskie. Ostatnie wyniki ich usiłowań zasługują na uwagę; poznamy je kolejno, zaczawszy od głosu, którego zdanie przywiedliśmy wyżej.

„Czego potrzeba dla naszego zbliżenia się z polakami?“ — pyta rosyjanin, ożywczy chęciami najserdeczniejszej zgody. Odpowiedź ciekawa. Według p. Szygaryna w literaturze rosyjskiej „nie wyrażono

OPIEKUNOWIE

przez
Szczedryna.

Rozmawialiśmy na placyku przed restauracją. Z zakładu dochodził nas odgłos gwaru ugaszczającego się ludu, pomieszany z brzękiem przyrządów herbacianych i z dźwiękami „miserere“, które wygrywał organ. Węch nasz również nie zupełnie mile drażnił swąd pary, pomyj, dymu tytoniowego i czadu z kuchni — unoszących się z otwartych naosćcież okien restauracji. W zestawieniu ze świeżością, dolatującą z nad rzeki, pośród panującego dokoła milczenia, restauracja wydawała się jakąś poślednią kloaką, zatłoczoną przez niepowszechnie i żarłoczne gady. Wszystko to zapowiadało mające nastąpić picie herbaty o tyle niepojętem, że już zaczynałem przemyślać, czyby nie było lepiej cofnąć się do skromniejszego schronienia przed liberalno-policyjnemi rozprawami mego wypadkowego towarzysza.

3)

— A, otóż i mój kapitan! — zawołał Kołotow: — Ehe! Zdaje się, ktoś jeszcze z nim: — ksiądz, czy co? Bo i ci także zabrali się dziś wszelkimi siłami do wydziału zasad ochronnych!

Spojrzałem na górkę restauracji. Tam, w otwartym oknie, stała długa postać i machała chustką w naszą stronę. Z po za niej wyglądało coś istotnie podobnego do popa. Długa figura wydała mi się jakby znajomą.

Po chwili, byliśmy już na górze, w małym pokoiku, którego ściany umalowano drzewami, na wzór ogrodu. Słońce uparcie wpędzało tu swe promienie, ale kapitan i jego towarzysz, na pozór, nie czuli nieznośnego upału i porządnie chlapieli, o czem wymownie świadczyła karafka z wódką, opróżniona prawie do samego dna.

Tak, to był on, świadek dni mej młodości, dymisyonowany kapitan Nikifor Piotrowicz Tierpi biedow. Ale jak się zestarzał, wybladł, wynędzniał! Jak mało był podobny do tego czynnego kurojada, jakim go znałem za dni mego szczęśliwego, uroczego dzieciństwa! Boże! Jak to wszystko było dawno... dawno!

Powierzchnowość Tierpi biedow jest bardzo oryginalną. Człowiek lat przeszło sześćdziesięciu, niezwykle długi, śledzio-

waty, szczupły. Na tym długim tułowiu tkwi nieproporcjonalnie mała główka, prawie bez podbródka, z odrobiną włosów na skroniach i ciemieniu, z zaostrozonym nosem, jak u ptaka, z błyszczącymi oczyma wysadzonymi naprzód i spadzistem czołem. Z wnętrzości, jak gdyby z pustej przestrzeni, bez żadnych z jego strony wysiłków, wybiega mocny, jakby szczekający głos — szczegół, który, o ile pamiętam, uderzył mnie jeszcze w dzieciństwie, gdyż przy pierwszym spojrzeniu na jego wyschlą, jakby chwiejącą się postać, można się było raczej spodziewać przeciągłego krzyku zórawia, aniżeli szczekania psa.

Ubrany jest również niezwykle oryginalnie. Ma na sobie frak jasnobrunatny z wąskimi fałdkami, starego kroju, szare spodnie w kratki zestrzemionami i ciemnomalinową kamizelkę kaszmirową z dwoma rzędami guzików. Na szyi włosiany halstuczek, miejscami silnie wystrzępiony, z pod którego wysuwają się sztywnie wykrochmalone ostre rogi kołnierza, wrzynające się w pomarszczone policzki, jak strzały. Widać ze wszystkiego, że stopniowo dodziera garderobę, nabytą z lepszych czasów.

— Ba! autor! — zaszczekał na mój widok. Uderzyła mnie nagle jakby wilgoć. Zda-

ani jednej zdrowej myśli, ani jednego słowa, któreby prowadziło do praktycznego rozwiązania kwestyi.“ Będziemy łaskawsi od autora a nawet powiemy, że w piśmienictwie rosyjskiem wyrażono bardzo wiele zdrowych myśli, bardzo wiele zdań praktycznych. Czytelnik znajdzie je łatwo w dołączonej do *Prawdy* rozprawie Pypina. P. Sz. uważa ją za bardzo cenną, ale niewskazującą żadnej praktycznej drogi. Działalności rządowej literatura — zdaniem autora — powinna przygotować grunt przez oświecanie opinii i łagodzenie wzajemnych uraz. Tymczasem co robi prasa rosyjska? Zmyśla lub wymyśla. Jako przykład takiego postępowania p. Sz. przywołuje jej zachowanie się wobec dwu broszur: bezimiennej *Polska i Habsburgi* i *Listu otwartego do francuskich i słowiańskich historyków, publicystów, polityków i literatów* — Pietraszewskiego. Pierwsza nie uznaje Polaków za Słowian i pragnęłaby ich połączyć pod hegemonią Austrii, druga zaś pod hegemonią pobratymczej Rosji. Zdawałoby się — powiada autor, że dziennikarstwo rosyjskie pominie niedorzeczność pierwszej i powita przychylnie drugą. Stało się przeciwnie: pierwszej nadano znaczenie narodowego wyznania wiary a drugą potracono lekceważeniem. Dla należytego rostrzygnięcia kwestyi potrzeba, według p. Sz., nakreślić program pracy, w którymby „pierwszy paragraf zawierał się w wyłożeniu tak rosyjskiemu, jak i polskiemu narodowi, czy i dla czego mianowicie korzystnem jest zobopólne zbliżenie się, oraz w jakich warunkach i z jakimi z obu stron ustępstwami może ono przyjść do skutku.“ Dalej „niezbędnem jest poznać szczegółowo istniejące polskie stronnictwa, żeby dowiedzieć się, czy wybiła już godzina pojednania... Zbliżenie się nasze, prędzej czy później musi nastąpić. Ostatecznie kwestya polska może być czworakim sposobem rozwiązana: albo Niemcy pochłoną polską narodowość, albo my ją zruszczymy, albo Polacy odzyskają niezależność, albo nakoniec zbliżą się do nas i, zachowawszy swą narodowość, utworzą jedno i jednym ożywione duchem pań-

stwo. W rusyfikacyjnych naszych usiłowaniach ponieśliśmy zupełne *fiasco*, i nigdy zapewne nie zdołamy zruszczyć wielomilionowego narodu, on zaś sam ustrzeże się od zniemczenia. Gdyby wreszcie Polska została przywróconą, to zgóry rzeczy można, że na czas bardzo niedługi. Tak więc zostaje jedno tylko wyjście: połączenie z Rosją. Powtarzamy, że ono musi nastąpić; im bardziej jednak będziemy ludzcy i skłonni do ustępstw, tem prędzej jego godzina wybić.“

A więc czego potrzeba dla zbliżenia się Rosyan z Polakami? „Trzeba nam — powiada autor, sumując swoje uwagi — przede wszystkim zachować się względem nich więcej ludzko i łagodnie; Polacy zaś ze swej strony winni okazać więcej szczeroci, której brak zawsze przeszkadzał porozumieniu się; ci zaś z nich, którzy dotąd nie otrząśli się ze złudzeń, niech zrozumią i przyznają, że nierównie lepiej dobijać się celów bardziej skromnych, niż uganiać się za złotemi mrzonkami, które, chociaż świetnie błyszczą, wiecznie pozostaną, z woli losów, w dziedzinie fantazyi.“

Jeśli to odpowiedź na tytułowe pytanie broszury, to co najmniej nie jest ona nową nietylko w dawniejszych rozprawach nad tym przedmiotem, ale i w najnowszych artykułach kilku pism petersburskich. Słyszeliśmy niejednokrotnie pobudki do wzajemnego poznania się, obliczenia zobopólnych korzyści, wyświeślenia stosunków; do sprawiedliwości i ludzkości z jednej strony a szczeroci i poskromienia pragnień z drugiej. Ogólne rady są przez prasę rosyjską wyczerpane prawie zupełnie, formalna, że tak powiemy, część przedmiotu załatwiona, pozostaje tylko rzeczowa, i ta właśnie stanowi zadanie najważniejsze. Pozostanie ono zaś niespełnionem dopóty, dopóki do głosu w tej ważnej sprawie dopuszczona będzie tylko jedna strona. P. Sz. widzi u nas „stronnictwo, które zrozumiało konieczność połączenia się;“ nie przeczymy, sądzimy jednak, że stronnictwo takie istnieje dopiero *in potentia*. Innemi słowy, są dla niego pewne zadatki, pewien materiał, ale mogłoby ono powstać, rozwinąć się i zde-

cydować dopiero wtedy, gdyby znalazło odpowiednie warunki, nieprzeszkadzające mu obok dążeń państwowych objawiać dążeń narodowych. Wszystkie żywioły polskie, które nie oprędują mrzonkami gabinetów europejskich, które zrozumiały twardą logikę rzeczywistości i pragną w jej ramy oprawić plan życia swego społeczeństwa, nie odważyły się dotąd na żaden krok wyraźny w kierunku pojednania, z obawy, ażeby przesłonięte do połowy ich oblicze obywatelskie nie przedstawiło fałszywie właściwej ich fizyognomii. Polak, apostołujący pojednanie, musi posiadać wszystkie prawa zachowania i objawienia swej narodowości; inaczej, jeżeli ucieiwy, cofnie się, a jeżeli ryzykowny ujrzy się odosobniony. Trzeba więc usunąć z jego dążeń ryzyko.

Tyle co do broszury. Autorowi jej należy się od nas za dobre chęci szacunek.

M. S.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ KARNA.

Przedmiot ten: kwestya poczytalności winy i stanu psycho-fizycznego przestępców — pozostaje ciągle zagadnieniem tak ważnem, tak ustawicznie przypominającym się naszej uwadze i rozumowi, że ciągle powracać musi przed myśl naszą jako pytanie, domagające się odpowiedzi. Już raz w *Prawdzie* (nr. 12) rozjaśniliśmy ją wywodem znakomitego badacza rosyjskiego Sieczenowa; obecnie poznajomimy czytelników naszych z poglądem francuskiego pisarza dra le Bona, (w *Revue philosophique* maj), który wzbogaca naszą wiedzę pouczającym przyczynkiem. Pozwólmy naprzód autorowi wytłumaczyć się w ogólnym zarysie.

Każda głośniejsza sprawa kryminalna — powiada le Bon — wydobywa na wierzch kwestyę umysłowego stanu przestępców i rozdziela zajmujących się nimi na dwa obozy: lekarze uważają ich za upośledzonych umysłowo i uwalniają od odpowiedzialności; prokuratorzy znowu za

ło mi się, że roztworzyłem drzwi dawno nieotwieranego lochu, w którym złożono w nieładzie stare, zaplesniałe rupiecie. Przypomniałem sobie przeszłość, kiedy Tierpiębiedow był jeszcze, jak to mówią, w pełni i służył jako szlachecki członek w sądzie ziemskim. Jak widzimy, było to jeszcze przed ukazaniem się „stanowych“ na arenie wewnętrznej, politycznej działalności (porachujcież — wiele mam lat!). Zajeżdżał on często do nas, bądź za służbą, bądź w charakterze sąsiada wiejskiego i zawsze zwracał moją uwagę szczególnie tem, że nasi domownicy jakoś wcale bez ceremonii z nim się obchodzili.

— No, cóż, kurojadzie, jak tam idzie pólów kurczęta? — wiecznie jednakowo witał mój nieboszczyk ojciec ukazanie się kapitana.

— Jakie tam dzisiaj kurczęta! — niezmienne odpowiadał na to przywitanie kapitan: — dzisiejsze, proszę pana, niekarmione, a jeżeli są, niektóre lepiej utrzymywane, to na nie już oddawna kapitan-isprawnik zagał parol.

Zaraz potem, podawano zakąskę i zaczynały się „żarty“, w których tak był niewyczerpany zastęp obywatelstwa dobrych, starych czasów. Klepano Tierpiębiedowa po

brzuchu, jakby wymacać chciano pochłonięte przezeń kurczęta, straszono go, sprzedano mu z przed nosa talerz z niedojedzoną potrawą, słowem wygrzywano mu na nosie cały szczupły repertuar domowych przedstawień teatralnych. Pamiętam nawet chwilę, kiedy był pod sądem za ukrycie zabójstwa, jak go drażniono za to i jak się tłumaczył, mówiąc, że „jedną chwilę — gdyby się tylko nie był spóźnił do sekretarza rządu gubernialnego — nie by nie było.“

Później Tierpiębiedow znikł w tym ogólnym odmiecie, w którym zakopała się pańszczyzna. Nawet nazwiska jego jakoś nikt nie wspomniał, chociaż mój stosunek z miejscem rodzinnem nie przerywał się wcale. I oto nagle okazuje się, że on żywiutecznie; że potrafił uchwycić za jakąś drzazgę wówczas, kiedy przzerwano i zgładzono tamę pańszczyzny; że się ukrył, przecierpiał liberalnych pośredników i nie zginał, ale nawet zjawił się na straży, bezinteresownie, pomnąc i wiedząc, że rzemiosło stróża bezpieczeństwa publicznego wynagradzają u nas raczej docinkami, jak papierami kredytowymi.

— A głos, to, Nikiforze Piotrowiczu, macie ten sam, co dawniej! Pamięta pan,

jak pan kiedyś przestraszył ciotkę Praskowię Iwanównę? — rzekłem, witając się z nim.

— A pan pamięta! Nie zapomni! — zawołał zadrżawszy z lekka: — dobre były to czasy — te czasy dawne — pan je pamięta?

— Pamiętam.

— Tak, powymierali! wszyscy powymierali! Ja jeden, i oto Grzegorz Aleksandrowicz, drugi ze starców, wegetujemy w tych okolicach. Starzy, ojezulku! Opadli! Markowkina Piotra Aleksandrowicza, naszego dawnego marszałka, pamięta pan?

— Gdzież on teraz?

— W Moskwie, panie! W jamie za długi coś dwa lata wysiedział, a teraz jako pisarek u notaryusza, wśród tych, wie pan, posłednich... ma dziesięć rubli pensyi na miesiąc. Ale bo też jakie tam jego pisanie! Pióro nawet więcej w gębę sobie wsadza niż w kałamarz. Dlatego go trzymają tylko, że był marszałkiem — kupcy lubią nań patrzeć. No, nie jeden popatrzy — popatrzy, a no i akcik napisał!

— Proszę! Proszę! Wszak miał tysiące dusz! A jaka figura! Trzymał własną orkiestrę! Śpiewaków! Trzy trzylecia jako marszałek urzędował.

istoty zepsute i domagają się kary. Sąd wydaje wyroki, przechylając się na jedną lub drugą stronę. Spróbujmy z kilku stron węzeł ten rozwiązać.

Badania anatomiczne, dokonane na trupach gilotynowanych, wykazują w budowie ich mózgu znaczne odstępstwa i stany patologiczne. Świeżo prosektor Chudzyński (w Paryżu) odznaczył w swym opisie głowy słynnego zbrodniarza Menesclou bardzo ważne nienormalności. Psychologowie w swojej sferze porobili także spostrzeżenia. Zbrodniarz — powiada Maudsley — popełnia występki nie z wyrachowania, ale z naturalnej skłonności. Dyrektorzy więzień prędzej lub później przekonywają się, że nałogowego kryminalisty poprawić niepodobna. „O, jak dobrze krasieł mówił do Chestertona jeden z więźniów. Gdybym miał miliony, chciałbym i wtedy być złodziejem.“ To też Maudsley dochodzi do następującego wniosku: „Rzeczywista reforma musiałaby zmienić naturę osobnika. Ale jak zmienić w ciągu jednego życia to, co się wytworzyło w ciągu całych pokoleń? Czyż murzyn zdołałby zmienić swą skórę a lampart swe plamy?“ Dr le Bon, godząc się w zasadzie na ten wniosek, dzieli przestępców na dwie kategorie: z ukształtowanymi do zbrodni dziedzicznymi i nabytymi. Do pierwszej należą jednostki organicznie ułomne i wiążące się w gałęziste drzewo rozmaitych przestępstw. Galton przytacza taką rodzinę zbrodniczą, składającą się z 540 członków. Obok nich istnieją osobniki bardzo liczne, które odziedziczają pewne ukształtowania ujemne, ale te mogą ich doprowadzić zarówno do zbrodni, jak i do czynów przeciwnych. Ludzie ci ulegają jednako pierwszym pobudkom i zależnie od ich kierunku przechylają się na jedną lub drugą stronę. Do tegoż rzędu zalicza le Bon indywidua, nieposiadające żadnych skłonności występnych, lecz tak słabego charakteru i moralności, że czyny ich zależą od warunków. W dobrem otoczeniu są dobrymi, w złym — złymi, właściwie zaś są nijakimi. Wreszcie grupa ta obejmuje ludzi energicznych i rozumnych, którzy jednak mają instynkt przewrotny, a jeśli

nie popełniają występków, to tylko z obawy kary. Moralność ich zamyka się w granicach kodeksu. Jest to gatunek bardzo niebezpieczny i niezdolny do poprawy.

Drugą klasę przestępców, według le Bona, stanowią jednostki, nieprzynoszące złych ukształtowań dziedzicznych, ale dochodzące do nich w życiu. Człowiek, z natury najuczciwszy, równie może popaść w tę klasę, jak stać się ofiarą cholery lub rozbitego pociągu. Paraliż, epilepsja i inne przypadłości, rozstrajające organizm, zdolne są z cnotliwego zrobić łotra. Niestety, ten rodzaj przestępców coraz bardziej wzrasta. W żadnym okresie historii nabyte nadwyrężenia systemu nerwowego nie były tak częste jak dziś. Składają się na to rozmaite podrażnienia fizyczne i duchowe.

Rozpatrzymy teraz z le Bonem kwestyę ze stanowiska prawnego i społecznego. Oba te pola w teorii na siebie zachodzą, lecz w praktyce się rozgraniczają. Niewątpliwie prawo jest formułą, streszczoną przez społeczeństwo i dla niego, oraz odpowiadającą jego potrzebom. Lecz z natury zachowawcze pozostaje zawsze za opinią. Ponieważ zaś sama ona dość późno ujmuje wymagania, zrodzone z przemian społecznych, przeto prawa, z początku zupełnie zastosowane do potrzeb pewnych epok, nie odpowiadają następnie innym. Naprzód użyteczne, stają się pomału szkodliwe. Interesa prawne i społeczne, pierwotnie identyczne, potem się rozdziela, a wreszcie krzyżują. Działo się to zawsze, ale szczególnie w epokach nagłego postępu, do jakich należy właśnie doba dzisiejsza. To też kodeks karny pozostaje dziś w wielkiej niezgodzie z wymaganiami społecznymi.

Jest to prawdą niewątpliwą, że ze stanowiska socjalnego mniej idzie o to, żeby społeczeństwo było pomszczonem, aniżeli o to, ażeby dyło ochranianem. A czy ono jest ochranianem? Z urzędowych sprawozdań statystycznych widzimy jasno, że więzienie, ta główna sankcja prawa nowożytnego, jest instytucją nadzwyczaj kosztowną, czyniącą jeszcze bardziej niebezpiecznymi jednostki, które w niem czasowo przebyły. Według p. Christophe'a,

głównego inspektora więzień, wszystkie kryminały, areszty, domy badań i t.p. są klubami wrogów społeczeństwa, publicznymi zbiornikami skazańców, oskarżonych, włóczęgów, zbrodniarzy, złodziei, ładacznie, którzy stowarzyszą się z sobą węzłami wspólności przestępstw. Francya więzi przeszło 100,000 winnych rocznie. Wychodzą oni z więzienia, nie mając żadnego innego zajęcia prócz spiskowania przeciwko społeczeństwu i szerzenia zbrodni w swem otoczeniu. „Jeżeli w okresie dziesięcioletnim — powiada prezes sądu kasacyjnego, Berunyer, dodamy liczbę więźniów, przechodzących przez nasze kryminały, przekonamy się, że przeszło milion mieszkańców naprzód pograża się w zbrodni i że ich utrzymanie kosztuje państwa więcej niż 130 milionów fr.“ Od chwili napisania tych słów liczba przestępców we Francji wzrosła, a rzadkie stosowanie kary śmierci przyczyniło się także (jak wykazuje statystyka) do pomnożenia zbrodni. Słynny ekonomista Molinari, zrobił niedawno ciekawy rachunek niebezpieczeństw zbrodniarza w porównaniu z niebezpieczeństwami innych zawodów, a mianowicie górnika. Zważywszy — powiada on — liczbę corocznie popełnianych zbrodni, mały procent wykrytych sprawców (w Anglii i Belgii $\frac{1}{4}$), mały — schwytanych i ukaranych ($\frac{1}{6}$), wreszcie mały — straconych ($\frac{1}{36}$), dochodzimy do wniosku, że zawód zbrodniarza jest daleko mniej niebezpieczny niż górnika i że „towarzystwo asekuracyjne, któreby ubezpieczało morderców i robotników w kopalniach, powinno od pierwszych wymagać mniejszej opłaty niż od drugich.“ Zemsta więc, jaką społeczeństwo wywiera na przestępcach, jest nie tylko drogą, ale nadto przez więzienia czyni ich niebezpieczniejszymi. Dobroczynnego wpływu kryminałów już dziś nikt nie broni. Przekształcone z gruntu, zamienione na szkoły i domy robocze (a wtedy przestałyby już być więzieniami) oddziaływałyby korzystnie na natury nijakie, łatwo ulegające wpływowi zewnętrznemu, lecz wymagałoby to takiego nakładu pracy i inteligencji, że kwestya łatwa do roz-

— Nie trzy — całych pięć!

— I teraz... jest pisarkiem!

— Tak, w kancelaryi siedzi u notaryusza... a duszność jaka! A przytem inni urzędnicy posyłają go często gęsto po wodę do traktierni.

— No, a jego majątek?

— Majątek jego, Pantelej Jegorow, tuższy gospodarz, kupił na licytacyi. Tak, darmo zabrał podlec. Dom zwał, park wyrąbał, lasy spławił, inwentarz wyprzedał... Jakie się tam instrumenty zostały po muzykantach — zbył dla pułku. Nie poznasz pan Grieszyszczewa! Pantelej Jegorow przeszedł po nim, niby francuz! Pamięta pan, jakie tam były karasie w stawie — i te wszystkie co do jednego wyłowił, a w traktierni chłopstwu sprzedał na poręye! Ile grosza wybrał — okropność!...

Świsnął, opuszczył głowę i zamyślił się.

— No, a jakże pan, Nikiforze Pietrowiczu?

— Nie dobrze. To jest tak złe, tak złe, że gdybym zaczął opowiadać, to by wypadła w swoim rodzaju „Tysiąc i jedna noc.“ Ale jednak jakoś vegetujemy.

— Słyszysz pan?

— Nie, tak oto przebijam się, jak umiem. Zresztą, prawdę powiedziawszy, biedni z nas działacze. O, gdyby to nasze etatowe

tuzy żyły — i nam byłoby jakoś poręczniejsz się przed nimi. Ale po nich zostały tylko mogiły, a nam, resztkom, nie bardzo dowierzają dzisiejsi naczelnicy!

— Pan byś powinien jeszcze służyć.

— Kląmiam się uniżenie. Dziś, proszę pana, sam młodzież w obiegu. Chemie i fizyki dziś wzięły górę, a my przecie przeżyliśmy latka bez chemii, a nade wszystko ufałszy w łaskę bożą. Nie zdaliśmy się. Takie to już dziś nastały czasy, że do cerkwi nie chodzą, a więcej, z przeproszeniem powiedziawszy, wierzą w ulepszenia.

— Czy pan tylko nie przesadza?

— Nie, wcale nie. Dziś wszędzie taka rozpusta, nawet duchowni — i ci stali się jakby niedowiarkami. Ot, powiadam panom, zalaż tu do radców ziemskich pewien ksiądz, i wnet, panie, przy całej publiczności wrzasnął: Podać mi cyfry! Cyfry! W nie prócz cyfr nie uwierzę! I to osoba duchowna!

— Tak, tak rzeczywiście! Ojciec Spiridon Błogosłono, proboszcz parafii Beke-towa. Stąd wiorst dziesięć będzie.

Słowa te wymówił ksiądz, który przybył z Tierpińbiedowem. Był to człowiek już nie młody, niewielkiego wzrostu, utuczony, z wielką, prawie łysą głową, którą trzy-

mał, nieco pochyloną w tył. Charakterystycznym szczegółem jego płaskiej twarzy były szerokie, rozwarte nozdrza, które, że tak powiemy, określały całą jego fizyognomię. Wszystko zresztą tonęło w jakimś ryzawo-białawym kolorycie. Małe, na pół przygasłe oczy spoglądały przez okulary i zdawało się, że nie widzą; cienkie, blade wargi ledwo otwierały się nawet wtedy, gdy mówił. Rzadkie jasnoryżne włosy na głowie wisiały w nieporządku; na brodzie i wąsach prawie wcale włosów nie było. Mówił poważnie i przyjemnym basem, ale w głosie brzęczała wydatna usłużna nutka, która wprawiała w ambaras. Wogóle, była to jakaś zagadkowa istota, której widok wzbudzał obawę.

Nawet Tierpińbiedow, przy całym wyznaniu swej bezwarunkowej dobromyślności, lękał się go i na pozór znajdował się pod jego silnym wpływem, co jednak nie przeszkadzało mu dość ostro wykpiwać swego mentora. Pomimo czerwcowego upału, ksiądz miał na sobie długą sukienną sutannę, mocno wybladłą i zakurzoną.

— Rekomenduję! — przedstawił go nam Tierpińbiedow: — ojciec Arseniusz, był proboszcz naszej parafii, a dziś ksiądz zabroniony. Przez podszechnia, a więcej za skargi. Do dwudziestu parafij zmienił w swem

wiązania teoretycznie, stałaby się niemożliwą praktycznie. Obecne zatem prawo kryminalne zamiast osłaniać społeczeństwo, wychowuje dlań gromady nieprzyjaciół. — Jakież środki zaradzenia złemu? Społeczeństwo — odpowiada le Bon — powinno starać się wszelkimi siłami o wyparcie ze swego łona żywiołów szkodliwych. To znaczy: trzeba przestępców wysyłać do odległych krajów (Afryki, Australii i t. d.). Jestem pewien — mówi autor — że przyszłe prawodawstwo, pojmując prawa dziedziczności oraz zależności czynów człowieka od jego ustroju fizycznego, porzuciwszy częste rozprawy nad poczytalnością i uprzytomniwszy sobie potrzebę obrotu społeczeństwa, zamknie więzienia i użyje marnowanych dotąd milionów na wysyłkę niepoprawnych zbrodniarzy do ziem oddalonych, półdzikich. Co do przestępstw drobnych, te możnaby karać pieniężnie, przymusową pracą lub służbą wojskową, rzeczywiście zaś obłąkanych należałoby na całe życie (nie jak dotąd na czas pewien) osadzać w szpitalach.

W sprawie tej, według le Bona, kwestya odpowiedzialności lub wolnej woli nie ma żadnej wagi; a jeżeli dotąd sędziowie zajmują się nią, to dla tego, że nie myślą o obronie społeczeństwa, lecz o zemście. Gdy mnie ukąsi pies wściekły, nie zastanawiam się nad jego poczytalnością, lecz go zabijam. Niewątpliwie wszyscy przestępcy są nieodpowiedzialni w tem znaczeniu, że natura i warunki życia zmusiły ich być przestępcami; ale czy powinni zasługiwać na większą litość, niż tysiące niewinnych ofiar wojny, ginących często za sprawę, której nie rozumieją lub nie podzielają? Dla czego pomordowani mają nas mniej obchodzić niż mordujący? Występek jest zarówno niezależnym od jednostki, jak brzydota i piękność, idyotyzm i rozum, choroba i zdrowie; a przecież natura i ludzie karzą nas lub nagradzają za te przymioty i wady.

„Ostateczny więc nasz wniosek taki: wszyscy przestępcy bez wyjątku są odpowiedzialni, społeczeństwo zaś ma obowiązek bronięcia się przeciwko nim. Teorya

ta nie znajdzie dziś zwolenników, należy ją też uważać jako prawdę przyszłości, lecz jako prawdę, która będzie banalną za lat pięćdziesiąt.“

Taki jest wywód le Bona.

Pomijając zbyt skrócony termin spełnienia się tej wróżby oraz zbytnią ufność autora dla szczupłych cyfr statystycznych, najslabszym punktem jego rozumowania jest właśnie to, co innym zarzuca, mianowicie trudność praktyczna. Teoretycznie argumentacya le Bona jest bardzo silna. Rzeczywiście, fizjologia uczy nas, że ustrój mózgowy przestępców wykazuje zboczenia, psychologia dowodzi niemożności istnienia wolnej woli, kryminalistyka ujawnia szkodliwy wpływ więzień, wyzwolona wreszcie z przesądów etyka, znosząc wszelką odpowiedzialność psychologicznie, zobowiązuje do niej jednak wszystkich społecznie — pozostaje więc tylko jedna droga ratunku — usunięcie żywiołów *szkodliwych*. Ale właśnie autor zapomina o trudności a nawet niemożliwości sprawiedliwego oznaczenia w każdym wypadku, kto jest szkodliwym. Z jednej strony bowiem prawo niezawsze może wykryć z bezwzględą pewnością istotny udział oskarżonych w przestępstwach, a z drugiej — wyroki jego, ulegające poglądom czasu i warunkom zewnętrznym, karzą nieraz takie czyny, które w innym czasie i w innych warunkach są nawet szanowane. Gdyby zasada le Bona była już stosowana od wieków średnich, dotknęłaby ona ludzi, którzy i bez niej zginęli na stosach lub w więzieniach, ale których autor z pewnością nie uznaje za szkodliwych. Jeżeli zaś we Francyi cywilizacya rzuciła na moralną wartość czynów jaśniejsze światło, to nie należy zapominać, że w innych krajach spoczywa jeszcze na nich mrok dawniejszy. W pewnym stopniu Rosya zastosowała zasadę le Bona, nie zebrała z niej jednak pomyslnych owoców.

Niezależnie od tych trudności praktycznych, obniżających rozumowanie le Bona, należy ono, zdaniem naszym, do najgruntniejszych teoretycznie poglądów, jakie w tym przedmiocie odzywają się. H.

PAWEŁ EMIL LITTRÉ.

(1801—1881.)

„Badając rozwój umysłu ludzkiego, od najpierwszych i najprostszych usiłowań aż do naszych czasów, sądzę — powiada A. Comte — że wykryłem zasadnicze prawo, któremu rozwój ten podlega siłą nieprzejmowalnej konieczności.“ I jakież to prawo? „Każda gałąź naszej wiedzy przechodziła lub przechodzi stopniowo przez trzy różne teoretyczne stany: *teologiczny* albo *złudzeniowy*, *metafizyczny* albo *oderwany* i *pozytywny* albo *naukowy*. Innemi słowy: umysł ludzki używa kolejno w każdym ze swych badań trzech metod filozoficznych, których charakter jest zasadniczo odmienny a nawet krańcowo przeciwny, mianowicie: naprzód metody teologicznej, następnie — metafizycznej a wreszcie — pozytywnej. Stąd wypływają trzy rozgałęzienia filozofii, trzy kierunki systematów, obejmujących różne poglądy na ogół zjawisk a wyłączających się wzajemnie: pierwsza z tych trzech filozofij jest pierwszym koniecznym wyjściem dla rozumu ludzkiego, druga stanowi przejście, trzecia zaś tworzy ostateczny i trwały systemat.“ W stanie pozytywnym (w którym obecnie się znajdujemy) umysł ludzki, poznawszy niemożność osiągnięcia pojęć bezwzględnych, nie śledzi początku i przeznaczenia wszechświata, nie bada wewnętrznej przyczyny zjawisk, lecz złączywszy zdolność spostrzegania ze zdolnością rozumowania, odkrywa jedynie prawa zjawisk, to jest niezmiennie stosunki w ich następstwie i podobieństwie. „Najwyższa (nieosiągnięta) doskonałość systematu pozytywnego polega na możności przedstawienia sobie wszystkich zjawisk znanych, jako szczegółowych przypadków jednego faktu ogólnego!

Obok tej podwaliny Comte założył drugą — *klasyfikacyę nauk*. Ustawia on je naprzód w dwa szeregi: abstrakcyjne i konkretne. Szereg drugi obejmujący: mineralogię, botanikę i zoologię — umiejętności jeszcze, zdaniem filozofa, nierozwinię-

zyciu, nigdzie nie wytrwał, a teraz zupełnie skapcał!

Przy takiej nieoczekiwanej atestacyi, ojciec Arseniusz mileząc mrugnął swemi niepatrzającemi oczyma w stronę Tierpi-biedowa. Pod wpływem tego wzroku rozgadany kapitan zeszytywniał nagle i zmieszał się. Porwał zestołu podróżny cybuch, wyjął z kieszeni zatłuszczoney kapeciuch i zaczął pośpiesznie nakładać tytoń.

— Mówcież dalej, Nikiforze Piotrowicz! — poważnie wymówił ojciec Arseniusz — powiedział pan „za skargi“... wytłomacz że pan, jakiego rodzaju i z jakich powodów wynikały tak zwane przez pana skargi?

— Nie, służka uniżony, jeszcze i na mnie napiszesz skargę! — próbował odciać się Tierpi-biedow. — Oto, panie — zmieniając rozmowę, zwrócił się do mnie: — dziś i fajkę sam muszę zapalać! A dawniej czyż się to zdarzało kiedykolwiek? Proszka! Venez ici — i fajka w zębach!

— Rzeczywiście, dawniej lenistwo i darmozjadztwo były w ogromnem poszanowaniu! — uszczypnął ojciec Arseniusz.

— Tak, panie, miewaliśmy swoje czasy! swoje dobre czasy! — ciągnął Tierpi-biedow, jakby nie słysząc uwagi księdza: — więc

to i pan zebrał się odwiedzić rodzinne gniazdo? To pięknie. Lasku odrobinę spuścić, rozporządzić ugorami — wszak wypadnie!...

— Ale powiedz kapitanie, wszak i pan miałeś folwarczki w sąsiedztwie?

— A jakże, a jakże! I dotąd mam. Tylko dawniej nazywałem go Monrepo. a dziś nazywam Monsufrans.

Nie mogę inaczej. We wszystkich izbach wilgoć! Zeszłej wiosny przyjałem na swe barki wszystkie deszcze; proboszcz bo to nazywa przepyszne oczyszczaniem powietrza!

— Tak, tak — wtrącił ojciec Arseniusz. Wiosna w tym roku przyczyniła się do pięknego wzrostu jarzyn. Kapusta, ogórki dotąd rosły w całym blasku. Ale kto ma popsuty dach, ten naturalnie musi znieść mnóstwo przykrości.

— Wszelako przeciwierpiałem. Już dawno chciałem zbyć to moje Monrepo, ale jakoś nikt kupić nie chce. Pantelejowi Jegorowowi proponowałem: kup, powiadam, tobie wszystko jedno, czyją krew ssać! Nie, nie chce! Twoję, powiada, Monrepo, nie dla ludzi, ale dla żab! Tak to, panie, dziś chłopcy rozmawiają ze swymi panami!

Pociągnął haust dymu i zdalo mi się, że mu coś wewnątrz zaryczało.

— Takie to nasze życie, — ciągnął dalej. I to są dawne, panie, służi! A co najważniejsza — nie możemy tego zapomnieć. Gdyby nam Bóg zesłał dar zapomnienia, jakoś byłoby lepiej. Rozebrałbym chałupy, zbudował jedną za jakie dwieście rubli, nadział szlafrok, fajkę nałożyłbym tytoniem... Królestwo, panie! Tymczasem nie — zawsze się jakoś chce lepiej. I saloniczku i gabinetu, albo coś podobnego: — „madame permettez bonjour!“

„Hej, służba, kieliszek sznapsa i zakąskę!“ Oto, co nas krzepi panie. A nie żyj tak! Gdzie zaś, — życie takie gruntu!

— Jeszcze dobrze, kapitanie, zęście humoru nie stracił! — uśmiechnąłem się.

— Proszę pana — tutaj teatru nie potrzeba, nigdy się nie można nudzić — dodał ojciec Arseniusz. Tylko kapitan w języku jest trochę niepowsięgliwy.

— Aha, będziesz tu teatru przedstawiał, kiedy upał, panie, smaży, a deszcz przysnuje! Poddajemy się! Cierpimy i milczymy! W cierpliwości chcemy umacniać dusze nasze... prawda ojcze wielebny?

— Naturalnie, przy dziurawym dachu i to pociecha!

— Słowem, dawniej lepiej się żyło, nie prawdaż, kapitanie? — drażnił Kołotow.

te, nie zwraca jego uwagi, która głównie pada na nauki abstrakcyjne. Odpowiednio do historycznego następstwa, zależności przedmiotowej, stopnia powikłania zjawisk i ich powszechności, przyjmuje następujące gałęzie wiedzy: matematykę, astronomię, fizykę, chemię, biologię i socjologię.

Taki jest zrab filozofii Comte'a, znanej pod nazwą *pozytywnej*.

Pośmierci mistrza, który, jak wiadomo, teorii swojej nadał sztywność dogmatyczną, utworzyła się z jego uczniów szkoła, która z religijną czcią i wiarą w jego nieomylność zaczęła objaśniać i dopełniać pozostawioną im do rozpowszechnienia ewangelię. W liczbie tych apostołów najgorliwszym i najwierniejszym z nich był Paweł Emil Littré. W r. 1845 wyłożył on nową filozofię w traktacie p. t. *Analyse raisonnée du cours de la philosophie positive*. Następnie w r. 1870 założył wspólnie z Wyrubowem dodatek istniejący miesięcznik p. *Philosophie positive*, wreszcie wydał szereg rozpraw, będących bądź katechizacją pozytywizmu, bądź jego zastosowaniem do polityki i socjologii. We wszystkich tych pracach trzymał on się wiernie zasad Comte'a, a nawet w szerzeniu ich objawił pewną manię. Jak Zola wszystkie zagadnienia wieku stara się rozwiązać przez *naturalizm*, tak Littré do wszystkiego przystępował z formułą pozytywistyczną. Historia o trzech stanach, powtarzana na rozmaite sposoby i w rozmaitych wypadkach, wyglądała na *idée fixe* umysłu, uwięzionego w dogmatyzmie filozofii, której najgłówniejszą zaletą było właśnie wyzwolenie myśli od dogmatyzmu. W miesięczniku, ożywianym przez Wyrubowa, obok rozpraw nader ważnych, pojawiały się artykułiki Littrégo, powtarzającego po raz setny też same twierdzenia. Był on też w końcu starym Jowialskim pozytywizmu. Podczas gdy dzieła Milla, Spencera, Huxleya i innych wykazywały słabe strony pozytywizmu, Littré powtarzał ciągle: znacie tę bajkę?... posłuchajcie.

Ze względu na zależne, nawet rzec można — poddańcze stanowisko filozoficzne zmarłego, należy mu się to uznanie, jakie, z potrąceniem naturalnie praw oryginalno-

ści, przypada Comte'owi. Pozytywizm w tej pierwotnej formie jest systematem, który dał silną oporę filozofii, ale wykroił dla niej podstawę za szczupłą. To też mimo zamykającego grunt badania ostrokołu, pozytywizm po za granicami sekty musiał rozszerzyć swe pole a nawet zmienić nazwę. Filozofia *krytyczno-naukowa* jest dziś sferą, w którą weszli najgenialniejsi myśliciele i pociągali za sobą duchy niepodległe. Podwaliny kantyizmu połączyły się z podwalinami comte'izmu i na tym zrębie przy pomocy nauk przyrodniczych wzniósł się gmach filozofii nowszej, która przerosła littré'owską chatkę.

O ile w systematyce filozoficznej Littré zacieśnił swój widnokrąg, o tyle potężnie rozszerzył go w swych naukowych badaniach. Pod względem wszechstronności jest on nawet zjawiskiem w literaturze wyjątkowym. Lekarz z ukształcenia i zawodu, położył nieśmiertelne zasługi na niwie badań historii literatury i mowy ojczystej. Jako autor rozpraw o poezji (*La poésie homérique et l'ancienne poésie française*), jako członek i współpracownik komisji, zajmującej się wydaniem historii literatury francuskiej, jako redaktor pism peryodycznych (*Journal des savants*) stawał przy rozmaitych pługach, na pozór mu obcych, i zawsze ujmował je dzielnie. Tytułem największej jego chwały jest *Dictionnaire de la langue française*, w 4 tomach (1863—1871), opracowany na podobieństwo naszego Lindego a zawierający cały skarb mowy francuskiej. Wydany później w skróceniach, stanowi dziś powszechnie używany podręcznik. Praca ta dostrarczyła mu materiału do innej, także znakomitej *Histoire de la langue française* (1862). Dwa te dzieła długo utrzymują w historii literatury francuskiej imię Littré'go.

Poświęcając swe siły filozofii, filologii i badaniom nad poezją, wreszcie licznym tłumaczeniom, nie zaniedbywał specjalności zawodowej — medycyny. Oprócz przekładu dzieł Hipokratesa wydał szereg broszur lekarskich, świadczących o jego czujności i bystrości w tej dziedzinie.

A jednak ta szeroko rozlewająca się działalność nie wyczerpywała jeszcze jego życia. Littré przyjmował żywy udział w polityce. Każda rewolucja porywała go w swój wir i zwykle rozbijała jego demokratyczne marzenia. Podczas oblężenia Paryża przyjaciele skłonili starca do opuszczenia stolicy, a Gambetta mianował go profesorem historii i geografii w jednej ze szkół politechnicznych na prowincyi. Po wojnie departament Sekwany wybrał go na posła do Zgromadzenia Narodowego, a następnie wszedł on do rady generalnej. W r. 1878 został senatorem, zasiadając zawsze na lewicy.

Do sławy Littrégo, mimo woli, przyczynił się także biskup Dupanloup. W r. 1863 zamknął on mu swymi gromami wejście do Akademii, a gdy wreszcie Littré w r. 1871 został jej członkiem, pobożny mąż starał się go zohydzić przynajmniej za drzwiami. Zyskał na tem bardzo wiele... wykłety.

Grób otworzył się przed strudzonym badaczem w 80 rocznicę jego urodzin. Francja nie straciła człowieka, któryby jej jeszcze coś obiecywał, ale straciła pracownika, który ją umysłowo wzbogacił i który śmiercią swoją uprzytomnił jej odrazu wszystkie swoje zasługi. Na jego nagrobku może ona bez nekrologijnej obłudy wyrzeć słowa głębokiej wdzięczności.

I. A.

LEOPOLITANA.

IX.

Rozpisałem się w poprzednich numerach (19, 20, 21) szeroko o p. Lamie, bo pragnąc wam skreślić obraz literackiego ruchu w naszej dzielnicy — o ile to w możliwości mojej — jaknajdokładniejszy, musiałem koniecznie wspomnieć o tym autorze, będącym, bądź co bądź, jednym z najwybitniejszych w ruchu tym przodownikami. Zwróciwszy raz oczy w jego stronę, nie podobna mi było zbywać kilkoma słowami długoletniej jego działalności, nie wy-

kołajewicza? Ależ on tu w ziemstwie, o ile się zdaje? — zapytałem.

— On sam. W ziemstwie, tak. Szajkę sobie zebrał różnej zbieraniny... rozdał im wszystkie miejsca i trzyma powiat w oblężeniu. Wkrótce doczekamy się, że będą rozbijali na otwartych drogach. Stowarzyszenia, banki, komuny... I to szlachci! Szlachcie, panie, a jakiemi zajmuje się sprawami! Lepszy, panie, odemnie!...

— W istocie mogę zaświadczyć. Wiele niewinnych dusz zbałamucił Walerjan Pawkowicz, a nawet można powiedzieć, cały okrąg zaraził swym bluźnierczym oddechem. — sentencyjnie potwierdził ojciec Arseniusz.

— Aj, należałoby tych długogrzywych dobrze, panie,... zawsze nie tak by już było! A to, panie, szlachci!

— Kapitan, zanadto się o naszym stanie źle wyrażasz — obraził się ojciec Arseniusz — proszę, przestań pan!

— No, ojculk, wybacz! A że oni długogrzywi, to fakt; mało mieliśmy przykładów?

— Najuprzejmiej upraszam, przestań pan!

— Za pozwoleniem panów! Nie w tem rzecz! Cóż właściwie robi pan Parnaczajew,

że tak oburzacie się na niego? Niech kapitan naprzód wytłumaczy.

— Wszystko robi. Komuny robi, doradza proletaryat, rozruca proklamacje... wszystko, słowem, całą truciznę!

— A co najważniejsze nie idzie drogami, wskazanymi przez Opatrzność, — objaśnił ojciec Arseniusz. Według niego, naprzykład, deszcz nie jest od Boga, ale z obłoków, a obłoki skąd się wzięły?...

— Wprost nie rozmawiałem z nim wprawdzie, ale od chłopstwa słyszałem wiele rzeczy. U włościan tutejszych, proszę panów, już oddawna jest taki zwyczaj: czy to długa niepogoda, czy posucha — jedynem na to lekarstwem jest zawsze dla nich nabożeństwo. Dotąd zgadzali się na to z zupełną gotowością, a dziś nosami kręcą. Przeszłej wiosny zalało nas prawie zupełnie; ja rzeczywiście sam nawet zaproponowałem, czyby nie należało zakupić nabożeństwa. A oni na to: — wszak deszcz pada z obłoków — cóż to, chcesz obłoki zagadywać? Skąd, proszę mi powiedzieć, takie dzikie myśli mogły im przyjść do głowy?..

(Dalszy ciąg nastąpi.)

— Dawniej... ho, ho, dawniej!

Tierpi biedow jak gdyby wygrzmiał to zdanie, a nawet zachwiał się ze wzruszenia.

— Dawniej, moi panowie, prawdziwych sług ceniono — ciągnął dalej, jakając się przy każdym wyrazie: — a dziś prawdziwe sługi...

Urwał nagle, jak gdyby czując, że niepatrzając wzrok ojca Arseniusza spoczywa na nim. I rzeczywiście wzrok ten jak gdyby mówił: pal, pal głupstwa — twoje słowa, moje — papier i pióro. Dlatego też bardzo na czasie wniesiono herbatę.

— Jaką mam dla pana rybkę, Siergiuszu Iwanowiczu, — zwrócił się Tierpi biedow do Kołotowa:

— Jeżeli już ta nie będzie panu smakowała, to próżnobyś nawet po całym dnie rzeki szukał.

— Jesiotrzyk, co się nazywa, — mięko, a nawet prawie dobrotliwie objaśnił ojciec Arseniusz, dmuchając na spodek i emoktając trzymany w ustach eukier.

— Wiem, pisaliście, kapitanie. Zdaje się, pan Parnaczajew.

— To jest, właściwie ja pisałem, a kapitan raczył tylko stwierdzić swoim podpisem — zauważył ojciec Arseniusz.

— Parnaczajew! Czy nie syn Pawła Mi-

tlomaczywszy dostatecznie powodów, które mnie skłoniły sądzić o niej tak, a nie inaczej. Tuszę, iż mi tę nieco przydługą wybaczyć wycieczkę; jeżeli bowiem powieść jest owym przewodem, za pomocą którego siew duchowy najsmadniej wnika w umysły, a jak ktoś trafnie powiedział — na obliczu powieści najwyraźniej odbijają się duchowe prądy ożywiające społeczeństwo w pewnym danym okresie, — to słusznie się należy obszerniejsza wzmianka p. Lamowi, który w zastępie naszych powieściarzy tak wybitnie zajmuje stanowisko. Sąd mój o jego posiewie wypadł surowo; nie przeczę! — niestety jednak utwierdzają mnie w nim owoce na roli p. Lama wyrosłe, którym się przypatruję od lat tylu. Był to siew kadmejski; powtarzam to raz jeszcze! — mimo to nie należy siewaczowi wyłącznej przypisywać winy. Jest on bowiem — jak każdy zresztą człowiek — iloczynem tylko swych osobistych właściwości, pomnożonych przez te stosunki, wespół których żyć mu wypadło. Wyrwijcie tego pisarza, odznaczającego się tak pierwszorzędnymi zdolnościami, tak bystrym i wszechstronnie wykształconym umysłem, i tak szczęśliwym temperamentem, z owej odurzającej atmosfery fałszu i obłudy, w której marnieć nam dziś każe nieublagana konieczność; — postawcie go *caeteris paribus* w zdrowszych warunkach, dozwólcie piersi jego szerszego oddechu, odwróćcie oczy jego od małych celików naszej prowincjonalnej niby—polityki ku rozleglejszym widnokręgom, ku słońcu, — a przekonany jestem, że pierś jego świętym zapłonie żarem, i że duch jego, rozwinąwszy swe potężne skrzydła, popłynie przed narodem słonecznymi loty, znacząc innym drogę do postępu i doskonałości. Atoli taką już jest klątwa, ciężąca na dzisiejszem pisarstwie w Galicyi pokoleniu, że się fatalnie błąkać musi w onem zaklętym kole, które u nas duchowi stworzyła ślubna z Austrią intercyza, i nie dziwnego, że wniesione przez nią zarazki najsilniej właśnie oddziałują na najwrażliwsze, a zatem wybrane umysły.

Obok p. Lama najpoczytniejszym u nas powieściarzem jest autor *Kłopotów starego komendanta*, który na sztandarze swoim otwarcie wypisał godło: *ludere!* a ograniczając swoje pragnienia wyłącznie do tego skromnego zakresu, jaki mu wytyka urząd uprzywilejowanego bawiciela czytelników c. k. urzędowej *Gazety lwowskiej*, jako taki mniej jest szkodliwym od swego poprzednika. Specyalnością *Starego komendanta* jest opiewanie starych kłopotów, starych szlacheckich mamutów, — epos kopalnego moszterdziejskiego safandulizmu! W tej mierze doprowadził *Komendant* do istotnego wirtuozostwa, zna on bowiem dokładnie anatomię tych paleontologicznych okazów, i jest w stanie — świadkiem tego świeżo u Gubrynowicza wyszłe *Szlacheckie sielanki*—rozwozić się przez pół grubego tomu nad dolą liczy-krupy szlacheica, który „zdźwigawszy się podnosząc dla przykładu pół korca pszenicy,“ leży jako ofiara swej „energii“ na łożu boleści, obsługiwany przez głupkowatą Kachnę czy Marychnę, trapiiony przez również głupkowatą kluźnicę, i wystawiony na nieproszoną opiekę natrętnych, jak muchy w lipcu, sąsia-

dów i sąsiadek. Facecye tego rodzaju z realistyczną prawdą i jowialnym opowiedzianem humorem, mogą być istotnie wielce ciekawe i pouczające dla szlacheiców, którzy byli i są, lub też mogą być w podobnem położeniu, — lecz dla nas, niemających potrzeby imponować „energiją“ gumienym, i podejmować się podobnych gimnastycznych ćwiczeń, jakież stąd pożytek? Podziwiać więc tylko można niespożyta werwę autora, która go wobec tak błahego przedmiotu nie opuszcza ani na chwilę, podczas gdy — jak wiadomo — sam Homer ślepy, opiewając temat daleko wznioślejszy, bo walkę nieśmiertelnych bogów, popadał niekiedy w drzemkę podczas opowiadania!

O facecyach, któremi nas zasypuje *Stary Komendant*, wytrząsając je, jak gdyby z rękawa, krąży tu u nas przeniesione z nad brzegów Wisły podanie, iż są tak jak kozik „durnego Jaska,“ którego (kozika) ostrze było własnością Maćka, a trzonek własnością Jacusia, i że czytając te szlacheckie dyktetyki, możnaby co kartka, ba nawet co stronica wołać: trzymaj złodzieja! łapaj! — gdyby rzecz warta była takiego hałasu. Co do mnie, sądzę, iż zarzut ten jest niewłaściwym i nie czyni ujemy *Komendantowi*, wolno jest bowiem mojem zdaniem autorowi dopuszczać się *pożyczki* u innych pisarzy, tak jak to czynili Molière, Szekspir, Fredro, Słowacki w *Mazepie*, Mickiewicz w *Farysie* i t. d. Chodzi tylko o to, by pożyczka ta obróconą została na meliorację własnego gospodarstwa, aby sprowadzone żyto szampańskie nie zostało sprzedane kupcom jako produkt własny; — należy nim obsiać własne zagony, zaaklimatyzować na własnej glebie, a zbiór, w ten sposób osiągnięty, może już potem iść na handel jako towar własnej produkcyi.

Co się tyczy płodów, które w świat puszcza *Komendant* jako krescencję własnego folwarku, o tych śmiem twierdzić, że jeżeli istotnie z własnych wyrosły sadzonek, to jednakże zaaklimatyzował je autor na własnej niwie, — wszystkie bowiem jego dyktetyki noszą piętno tego samego na świat poglądu i tej samej pisarskiej indywidualności. Chodzi mi raczej o wartość tego w obieg puszczonego towaru, z którego maki nie będzie, i którego przeto — jeżeli jest aklimatyzowanym, doprawdy aklimatyzować nie było warto. Cóż nas bowiem obchodzić mogą losy i filozoficzne rozpamiętywanie takiego „zdźwiganego“ moszterdzieja? — tyle chyba ile nas obchodzą, również w swoim rodzaju dowcipne, rozprawy scholastyków nad zagadnieniem: w jaki sposób Chrystus byłby skutecznił dzieło zbawienia, gdyby na świat przyszedł był w postaci majowego chrząszczyka? Dla nas, którzy w sejmie widzimy szlachtę naszą, kreślącą *macte animo* pozycyę szkolnego i szpitalnego budżetu, na to, aby prowizorycznej autonomii naszej wystawić gmach monumentalny, — którzy ją widzimy uparcie obstającą przy propinacyjnym przywileju, podczas gdy arendarz coraz bardziej lud rozpaja, — którzy ją widzimy opierającą się reformie średnowiecznej naszej ustawy drogowej, zwalnającej szlachtę na niekorzyść kmieci z znacznej części obowiązków konkurencyjnych prestacyj, — dla nas powtarzam, którzy

mamy sposobność przypatrywać się jak te społeczne grzechy na niekorzyść naszą wyzyskuje wroga nam agitacya, — ciekawszem by nierównie było dowiedzieć się, jakim jest zapatrywanie takiego chociażby nawet niekoniecznie „zdźwiganego“ szlacheica na sprawę postępu, oświaty, ludowego dobrobytu, sprawiedliwości? na te, co na nim ciąży, obywatelskie obowiązki? i jak sobie szlacheic taki wyobraża tę przyszłość, którą uporem swym i małodusznością krajowi gotuje? Niestety jednak są to pytania, których *Staremu Komendantowi* stawić nie można. Piastując bowiem urząd uprzywilejowanego bawiciela czytelników c. k. urzędowej *Gazety lwowskiej* musi on koniecznie śpiewkę swoją dostrajać do kamertonu namiestniczej Egeryi, i pilnie baczyc, by nie urazić drażliwych uszów spać chcących hofratów.

Wspomniałem tu z umysłu o *Starym Komendancie* i o urzędowej *Gazecie lwowskiej*; pierwszy bowiem jest głównym dostawcą powieściowej papki dla czytelników namiestniczego organu i typem nowoczesnych naszych nadpęłtwiańskich Ibusiów, podczas gdy druga, posiadając dziś u nas wyłączny niemal przywilej oryginalnego fejetonu, i zawładnąwszy w ten sposób całą prawie w Galicyi literacką produkcją, stała się rodzajem galicyjskiego Hotelu Rambouillet i króluje dziś niemal już wszechwładnie w dziedzinie naszego piśmienniczego ruchu. Mamy tu więc — *risum teneatis!* — pocieszne widowisko c. k. austriackiego hofrata, stojącego w mundurze i pierożku, jako Cherub świetlany, na straży polskiego narodowego tuiera, i „paustrującego *rechts und links*, czy się tam coś *staatsgefährlich* nie rucha w tymżnietu, gdzie *verfluchter Schreiberpolak* składa „broń swego rycerza, swych uczuć przędę i swych myśli kwiaty.“ Arka ta stoi dziś już żadnym nie zachwiana ciosem, liczy bowiem obecnie przeszło 3.000 abonentów, t. j. tyle właśnie, ile razem wzięwszy, obydwu nasze niezawisłe dzienniki, z którymi *Gazecie lwowskiej* walkę ułatwia przywilej, zwalniający urzędowego wajdelotę od dziennikarskiego stempla. Dzięki temu przywilejowi może fabryka urzędowej opinii publicznej wyrób swój w handel po niższej puszczać cenie, aniżeli to czynić mogą inne, stemplem obciążone, dzienniki. I rzeczywiście też, skutkiem tej nielojalnej konkurencyi, którą w ten sposób rząd niezależnej robi opinii; cena prenumeraty urzędowego koranu masię do prenumeraty niezawisłych pism codziennych jak 16 do 24, której to okoliczności organ namiestniczy wzięcie swe także po części zawdzięcza. Jeśli tedy zważymy, że — jak się samo z siebie zresztą rozumie — nie dziennik, lecz właściwie prenumerator stempeldziennikarski opłaca, natenczas przedstawi się nam stosunek, chińskim tym przywilejem wytworzony, w ten sposób, iż rząd każdemu, który mózg swój duchowej inkubacyi urzędowego wajdeloty poddaje, *de facto* za tę „wygodę,“ roczną pensję w kwocie 3, wyraźnie trzech guldenów wypłaca! Jest to więc uidealizowane *Ius primae noctis*, i przeniesiona w sferę duchową prostytucya!

Nie mniej wespanyańskim jest i drugie źródło dochodów, na którym oprócz prenu-

meraty c. k. urzędowa *Gazeta* był swój opiera. Jest nim monopol przymusowych urzędowych ogłoszeń, któremu spadkowe pertraktacje, pozwy sądowe, konkursy, licytacje, i inne tym podobne owoce galicyjskiej nędzy obfitego dostarczają żeru. Należytości, za ogłoszenia te przypadające, ściągają z biedactwa sądy drogą przymusu z nieubłaganą surowością; — i tak tedy jest wiadomy, c. k. Oberub, „stojący na straży“ i t. d., ową arkę, „w którą lud składa nietylko broń swego rycerza, swych uczuć przedzę i swych myśli kwiaty,“ ale też i krwawy grosz wdowom i sierotom wydarty. Cokolwiek bądź i jakimkolwiek bądź są źródła dochodów urzędowego monitora, dość na tem, że posiadając decydujący w dzisiejszych czasach *nervum rerum*, może *Gazeta lwowska* współpracownikom swoim ofiarować lepszą zapłatę, aniżeli to uczynić mogą inne, mniej dobrze zagospodarowane dzienniki; a że, jak powiedział cesarz Wespazyjan. *non olet!* i nie każdy ma węch drażliwy, więc też gromadzą się dziś pod jej sztandarem niemal wszystkie w kraju zdolniejsze pióra. Przysnąć potrzeba, że swoje pomiędzy braćmi Apolina wzięcie zawdzięcza namiestniczy organ także tej okoliczności, iż jest od pism niezależnych przyzwolciej i staranniej redagowany. Ale w tem też właśnie leży główna *Gazety lwowskiej* szkodliwość! Jak dziś rzeczy stoją, nie wahają się już najlepší w narodzie oddawać mózg swój urzędowej Egeryi w usługę; owszem, nawet poczytują sobie niektórzy z nich jako zaszczyt, iż płodami swemi zasilają fabrykę urzędowej opinii publicznej. Skutkiem tego wzrasta wartość literacka i wzięcie namiestniczego organu, a tem samem wzmaga się też i wpływ jego na umysły — objaw mogący tylko zasmucić tych, którym na sercu leży postęp i dobro kraju! Jeżeli bowiem prawdą jest, co powiedział Pascal, że cała nasza wartość moralna zależy od naszego sposobu myślenia, to cóż więcej przerażającego nad widok społeczeństwa, żyjącego w naszych warunkach, a zrzekającego się samodzielnego myślenia i oddającego mózg swój rządowi warendę? Słusznie też powiedział jeden z tutejszych humorystów, że kraj, który przyzwyczają się myśleć tak, jak z natury rzeczy konieczne myśleć musi organ urzędowy, przestaje być krajem, a staje się kredensem!

Nie potrzebuję, zda mi się dowodzić, że wiadomy wam już wzgląd, aby się chałupka nie zawałiła, przestrzeganiem być musi w łamach urzędowego monitora ostrzej niż gdzieindziej, że przeto autorowie pod znakiem jego w szranki występujący głos swój koniecznie obniżać muszą do takiego diapazonu, ażeby przypadkiem nie przerwać snu mniej lub więcej jaśnie oświeconych ekscelencyj, pragnących trawić w spokoju ducha smaczny obiad i zasiadających w tym celu, przy czarnej kawie, do czytania *Gazety*. Powstaje w ten sposób literaturka niewinna, potulna, wymuskana, nie wymagająca od czytelnika wysiłku myśli, mogąca z równem zajęciem być czytana we Lwowie jak i w Pekinie, a całkiem podobna do cichego szeptu lokajów w kredensie, gdzie „służba zna swoją powinność.“ Porządek w tym kredensie panuje wzorowy; nikt z rozmawiających

nie ośmiela się podnieść głosu wyżej nad miarę dozwolonego szmeru, wszyscy piszą jednako, wszyscy mają jednakie na świat poglądy, jednakie temperamenty, omalżem nie powiedział — jednakie fraki i kamasze, i nie znajdziesz pomiędzy nimi jednego, posiadającego to, czego przedewszystkiem wymagam od pisarza, a co Niemcy nazywają: *eine scharf markirte schriftstellerische Individualität!* Papka, w ten sposób przyrządzona, działa na umysły jak opium; jeżeli tedy prawdą jest, co powiedziała pani de Sevigné, że *à défaut d'une lecture sérieuse l'esprit gagne les pâles couleurs* i jeżeli nowożytna teoria o transformizmie nie myli, to jest usprawiedliwiona całkiem nadzieja, że ogół nasz, karmiony taką strawą przez trzy lub cztery pokolenia, przestanie myśleć zupełnie, — że skutkiem zmian zaszłych w naszym mózgu zmieni się i kształt naszej głowy, że się kąt naszej czaszki stępi, że się czoło nasze w tył cofnie, i że — powrócimy znowu do typu goryla!

Junius.

Kronika wynalazków.

Wystawa elektryczności w Paryżu. — Nowe zbiorniki elektryczności p. Faura. — Fotofon Bella i Taintera. — Przesyłanie mowy za pomocą światła — Poszukiwania p. Mercadier. — Telekroskop. — Nowy fotometr fotograficzny Janssena. — Przyrządy ostrzegające przed pożarem. Przechowywanie łatwo zapalnych płynów.

Ze wszystkich kongresów bieżącego roku, najbardziej oczekiwanym jest międzynarodowy popis elektryków, połączony z wystawą elektryczności, który się rozpocznie w Paryżu dnia 1-go sierpnia.

Pierwsza to będzie wielka wystawa, poświęcona wyłącznie zestawieniu systematycznemu wszystkiego, co się w tej dziedzinie ostatnimi laty zrobiło. A zrobiło się tak wiele, jak w żadnej innej gałęzi wiedzy. Elektryczność, uważana do tak niedawna za coś wielce tajemniczego, zajmującego, lecz w praktyceomal nieużytecznego, została użyta do zaspokojenia potrzeb codziennego życia. Niespodziane, ważne wynalazki przyczyniły się do ujarznienia tej niesfornej siły, miotającej pioruny, i do wprowadzenia jej na wielką skalę w przemyśle, handlu i komunikacjach. Dziś już nie możemy sobie nawet wyobrazić, jak bez telegrafów mogłyby się odbywać stosunki międzynarodowe, co dałoby bezpieczeństwo jazdy na kolejach, dostateczne oświetlenie latarni morskich i t. d.

Odkrycia i wynalazki kilku lat ostatnich, opierające się przeważnie na własnościach siły elektrycznej zdolały tak zainteresować ogół nawet niespecjalistów, że już niejednokrotnie spotykamy się z pracami, wychodzącymi od ludzi, nieoddanych wyłącznie tej dziedzinie wiedzy. Nauka elektryczności zdobyła sobie popularność. We wszystkich pracowniach rzucano się do jej zgłębiania i nastały już takie czasy, że niema prawie tygodnia bez wiadomości o jakimś nowem a ważnem odkryciu. Materyałów, prób, doświadczeń, modeli nabrało się tak dużo w przeciągu pięciu lat ostatnich, ile może we wszystkich poprzedzających razem.

Do tak ożywionej pracy największą zachętą była oczywiście łatwość robienia odkryć i otwierania dróg nowych, oraz wzgląd na materyalne korzyści, jakie nieraz jeden drobny lecz praktyczny wynalazek przynieść może. Jeśli rzucimy okiem wstecz i przyjrzymy się historycznemu rozwojowi odkryć i wynalazków, to się przekonamy,

że takie zjawisko wyłącznego prawie zapanowania jednej gałęzi poszukiwań, trwające przez lat kilka lub kilkanaście, nie jest rzeczą nową i niespodziewaną. Parę dobrych, głównych wynalazków zwraca oczy wszystkich, pragnących chodźć nowymi drogami, w jedną stronę. Prąd ogólny porywa pracujące głowy i ręce.

Przyszła teraz kolej na elektryczność i gdy się w tym kierunku rzucano, mając do pomocy środki tak potężne, jakimi nowożytna nauka rozporządza, to oczywiście nagromadziła się olbrzymia ilość materyału nowego, na zestawienie którego i wyprobowanie ogólnych wniosków nie było jeszcze dosyć czasu. Trudno było wypróbować i porównać wszystkie sposoby elektrycznego oświetlania, telefonów, maszyn dynamoelektrycznych i t. p.

Wystawa międzynarodowa będzie takim muzeum, w którym uczeni i praktycy znajdą to wszystko, co na tem polu robiono; widzieć będą mogli wszystkie przyrządy w ruchu, mierzyć siłę, porównywać koszty, uzupełniać w myśli luki istniejące i odnajdywać drogi do nowych a owocnych poszukiwań.

Nie ulega wątpliwości, że wystwa ta przyczyni się do zrobienia wielkiego skoku naprzód i będzie zaznaczoną w rocznikach elektryczności jako data historyczna wielkiej wagi.

Korzyści z niej najlepiej określił minister Cochery w swym raporcie. „Uczeni i przemysłowcy — powiada — poszukują dzisiaj, we wszystkich krajach świata, ulepszenia sposobów dobywania i zużytkowywania nowej siły. Rezultaty otrzymane są już znakomite i liczne, lecz często niedostateczne i niezupełne. Wiele zależy na tem, aby ściśle oznaczyć stan obecny nauki o elektryczności i jej zastosowaniach, zbliżyć i porównać sposoby poszukiwań, aby wszystkim pracom i wysiłkom nadać kierunek ogólny, któryby im ulżył i zapewnił powodzenie.“

Nie będziemy się wdawali w szczegółowy opis programu wystawy, jej urządzenia i układu. W czasie jej trwania będziemy mieli dosyć po temu sposobności. Wystarczy nam tymczasowo zwrócić tylko uwagę na ważniejsze zagadki, których rozwiązania spodziewać się możemy.

Najbardziej interesować będzie oczywiście sprawa oświetlenia elektrycznego, które tak ogromne zrobiło postępy, że już jest zupełnie blizkiem ostatecznego praktycznego zastosowania. Będzie to walka niezwykle ożywiona a do turnieju staną liczne zastępy wynalazców. Spokładamy się z potężnymi ogniskami o sile kilkudziesięciu tysięcy płomieni i zwykłymi lampami do użytku domowego; zobaczymy najpotężniejsze maszyny dynamoelektryczne, jakie dotychczas zbudowano. I tak słynny Edison ma wystawić jedną, zapomocą której zapali 800 ognisk elektrycznych! Pokaże się ostatecznie, czy też co warte są jego lampy (*à incandescence*), tak sławione przez amerykańców, widzących w Edisonie uosobienie swego geniuszu narodowego.

Przenoszenie siły na znaczne przestrzenie i wogóle używanie elektryczności do wykonywania pracy mechanicznej reprezentowanym będzie przez liczne przyrządy i maszyny, z pomiędzy których dla publiczności najwięcej przedstawi interesu kolej elektryczna Siemens, pokazywana na wystawie przemysłowej w Berlinie. W zasadzie budowa jej nie ma nic nowego. Na lokomotywie umieszczona jest zwykła maszyna dynamoelektryczna, którą wprawia w ruch prąd elektryczny, wyrabiany na stacji i dochodzący do lokomotywy po szynach. Oczywiście szyny muszą być odosobnione. Po jednej z nich bieżą prąd dodatni, wchodzi przez koło do lokomotywy i obraca motor. Połączenie z drugim biegunem następuje za pomocą drugiego koła i drugiej szyny. Kolej taką budują obecnie

w Berlinie na większą skalę dla użytku publicznego.

Telefony będą na wystawie reprezentowane w tysiącnych niemal egzemplarzach. Od czasu ostatniej wielkiej powszechnej wystawy, namnożyło się ich tyle, że wyliczenie samych nazwisk wynalazców zajęłoby stronę całą. Wszystkie większe kompanie telefoniczne będą reprezentowane. Silną pętlą tego oddziału wystawy będzie komunikacja jej placu ze sceną wielkiej opery. Obiecują, że będzie można słyszeć orkiestrę, solistów i chóry z odległości tych paru kilometrów, dzielących pałac Pól Elizejskich od gmachu Akademii Muzycznej.

Jednym słowem i dla niespecjalistów wystawa dostarczy mnóstwa przedmiotów uderzających nowością pomysłu, praktycznością zastosowań lub przynajmniej zadowoleniem zwykłej ciekawości publicznej, szukającej nowych wrażeń.

Zatrzymujemy się jeszcze przez chwilę przy wynalazkach z dziedziny elektryczności. W czasopismach naukowych i w towarzystwach uczonych jest obecnie na porządku dziennym sprawa nagromadzania elektryczności w odpowiednio zbudowanych przyrządach, zwanych stosami drugorzędnymi (*piles secondaires*).

Zadanie, które się ma tą drogą rozwiązać, jest następujące. Należy zbudować przyrządy, w których możnaby było nagromadzić znaczną ilość elektryczności, przenosić takie zbiorniki gdzie się podoba i dobywać z nich w każdej chwili, w dowolnej ilości, zamknięty zapas energii elektrycznej. Gdyby takie zadanie zostało zadawalniająco rozwiązane, otrzymanoby znaczne korzyści i usunięto przeszkody, stojące dotychczas oporem szerszemu zastosowaniu elektryczności w codziennych potrzebach życia. W wielkiej fabryce napelniano by codziennie zbiorniki, rozwożono do domów i każdy abonent na elektryczność mógłby za pokręceniem śrubki używać utajonej w przyrządzie elektryczności do pędzenia drobnych maszyn domowych, jak maszyn do szycia, oświetlania pokoi, robót galwanoplastycznych i t. p.

Zaszczyt pierwszych prac na tem polu należy się Gustawowi Planté, którego stosy drugorzędne od lat kilku powszechnie w laboratoriach są używane. Po nim kilku wynalazców ulepszało je a obecnie doprowadzono do takiego stanu, że z elektryczności, użytej do napelnienia, odbiera się potem 80 procentów. Przynajmniej tak twierdzi Faure, wynalazca nowych stosów niedawno przedstawionych w Akademii Umiejętności.

Wynalazek pana Planté, jakkolwiek jest prostym w budowie, nie jest jednak łatwym do wyjaśnienia w ramach naszej kroniki naukowej. Musimy też o teorii wspomnieć tylko ogólnikowo. Przedstawmy sobie jakikolwiek najprostszy element, składający się na przykład z dwóch blaszek, jednej cynkowej a drugiej miedzianej, zanurzonych w zakwaszonym roztworze. Jeśli połączymy miedź z cynkiem, to otrzymamy prąd, o którego obecności da nam świadectwo galvanometr. Zauważono, że po pewnym czasie, mimo zachowania tych samych warunków, prąd zaczyna słabnąć i nawet zbliżać się powoli do zera. Gdy zjawisko to zaczęto badać, okazało się, iż przypisać je należy polaryzacji, powstałej wskutek rozwijania się energii elektrycznej, nowych elementów wewnątrz elementu głównego, które działając w przeciwnym kierunku, osłabiają energią stosu. Powstają prądy, działające odwrotnie, które nazywano prądami drugorzędnymi. Wskutek rozkładu chemicznego składników stosu tworzą się nowe ugrupowania, które następnie zużytkować można, jako nowe źródła elektryczności. Na tej właśnie zasadzie, na takim wyzyskiwaniu drugorzędnych prądów, opiera się budowa zbiornika elektryczności pana Planté.

Budowa ich dosyć prosta. Składają się

ze zwiniętych spiralnie blach ołowianych i rolowanych za pomocą kauczuku i zanurzonych w zakwaszonej wodzie. Jeśli te blachy połączymy z jakimkolwiek źródłem elektryczności, to na ich powierzchni następują zmiany chemiczne, wytwarzające prądy drugorzędne. Po pewnym czasie takiego *napelniania elektrycznością*, jeśli się tak wyrazić wolno, można z blach ołowianych odbierać napowrót włożony zapas elektryczności, połączymy je z sobą. Następują odwrotne zamiany chemiczne i nagromadzone poprzednio, energia wydziela się powrotnie, naturalnie z pewnymi stratami.

Ulepszenia pana Faure'a polegają na tem, że zmiany wewnętrzne w stosie wtórzonym głębiej sięgają przy naładowywaniu elektrycznością. Osiąga się ta zdolność przyjmowania większej ilości energii elektrycznej tem, że elektrody pokrywają się warstwą minii lub innego połączenia tlenu z ołowiem. Stos wtórzony Faure'a ważący 75 kilogramów, może wydawać z siebie przez całą godzinę ilość elektryczności, zastępującą pracę jednego kopia parowego. Ciężar to niezbyt wielki i możnaby było stos pana Faure'a z łatwością dowozić codziennie do domów, gdzie praca jest potrzebną do wprowadzenia w ruch małych warsztatów, ale czas wydzielania prądu jest bardzo stosunkowo krótki. Godzina roboty — to za mało i każdy pracownik musiałby się zaopatrywać w kilka rezerwarów. To już za wielki kłopot z rozwożeniem.

Są kapitaliści, którzy w tych ulepszeniach pokładają wielkie nadzieje i sądzą, że kwestya powszechnego używania elektryczności do oświetlania domowego i pędzenia drobnych maszyn została na tej drodze rozwiązana. Świadczą o tem rozlepiane od pewnego czasu na rogach Paryża afisze, obiecujące za lat parę dostarczyć: „la force et la lumière par l'électricité“ za bajecznie niską cenę. Być może, że z czasem do takiego obniżenia cen dojdzie będziemy mogli, ale nie sądzimy, aby posługując się tem, co dotychczas zrobiono, można było otrzymać tak świetne rezultaty.

Fotofon Bella i Taintera, który w zeszłym roku tak słusznie stał się przedmiotem podziwu całego Paryża, wywołał cały szereg prac i poszukiwań, mających na celu bliższe wytlomaczenie zjawisk, towarzyszących przesyłaniu dźwięków na odległość za pomocą promieni światła.

We Francyi p. Mercadier, w Anglii pp. Tyndall i Preece poczynili w tej mierze wiele ciekawych i pożytecznych odkryć.

Nie potrzebujemy tutaj opisywać fotofonu; zbyt on jest znany. Przypominamy tylko, że zasada tego cudownego mechanizmu jest następująca: przyrząd wysyłający świetlaną depezę jest tak zbudowany, że wychodzący z niego promień światła zmienia swoje natężenie, drżąc nieprzerwanie pod działaniem dźwięków muzycznych lub też ludzkiej mowy. Przyrząd odbierający zmienia te drgania światła na dźwięki.

Pokazało się, że jeżeli chodzi o zwykłe tony muzyczne, to budowa odbieracza może być bardzo prosta; tabliczka zwykła z rozmaitszych materyałów, jak drzewa, cynku, ebonitu, powtarza dźwięki, jeśli nanią pada światło przerywane odpowiednią ilości razy na sekundę.

Jak się później pokazało, nawet gazy wystawione w takich promieniach, zdolne są do wydawania dźwięków. Bell przypisywał to zjawisko bezpośredniemu działaniu promieni światła, bez współudziału ciepła promieniącego.

Nowsze doświadczenia wykazały, że światło nie gra tu głównej roli, że wyłącznym, jak się zdaje, czynnikiem są promienie ciepłkowe. Przekonano się bowiem, że jeśli nawet na drodze promienia przenoszącego depezę, postawimy nieprzejrzyste dla światła ciało, jak np. blaszkę ebonitową, to jednak mimo to zjawiska fotofoniczne się

powtarzają. Światło przez ebonit przejść nie może, ale natomiast niewidoczne dla oka promienie ciepłkowe przechodzą na drugą stronę i działają na aparat odbierający.

Badając bliżej dźwięki wytwarzane tą drogą w naczyniach zamkniętych, napelnionych gazami, przekonał się Preece, że dźwięki te w pewnych warunkach nie są wydawane przez ściany naczynia, lecz przez gazy wewnątrz uwięzione.

Na tej drodze doszedł do zbudowania zupełnie nowego odbieracza, do zwykłych telefonicznych komunikacji. Ze stacyi wysyłającej po drucie przybiega do odbieracza prąd elektryczny o zmiennem w każdej chwili natężeniu. Prąd ten przebiega przez cienki drucik platynowy, zwinięty w węzownicę i zawieszony wewnątrz zamkniętego naczynia. Drucik ten staje się podczas przesyłania depezy źródłem ciepła promieniącego, zmniejszającym ciągle swe natężenie, proporcjonalnie do zmian prądu elektrycznego. Oczywiście, następuje to w rozmiarach bardzo nieznacznych i nieuchwytnych, a jednak wystarczających do wprowadzenia powietrza zamkniętego wewnątrz naczynia w dźwięczne drgania.

Dobywa się stamtąd głos, wprawdzie dość słaby, ale zrozumiały i zupełnie wyraźny.

Do niezliczonego mnóstwa odbieraczy telefonicznych, obmyślanych w ostatnich kilku latach, przybywa więc jeden nowy, a oparty na zupełnie odmiennej od innych zasadzie.

B. A.

(Dokończenie nastąpi).

Badania historyczne.

(Marya Stuart w więzieniu.)

Zdawałoby się, że życie Maryi Stuart historycy i poeci wyczerpali w zupełności. Jeden wszakże z jego ustępów został dotychczas nietknięty, chociaż jest niemniej od innych ważnem ogniwem w łańcuchu przegód królowej Szkocyi. P. Leader, członek Towarzystwa Starożytności w Londynie, postanowił wypełnić tę lukę¹⁾. Ograniczył on się na przedstawieniu epoki, w której Jerzy hr. Shrewsbury zajmował się królową (1529—1584), gdy odcięta od świata, przerwała pozornie wszystkie spiski. Autor dowodzi, że całe życie jej było nieprzerwanem pasmem szeroko rozgałęzionych knoń. Z niezwykłą skrzętnością powiązał on rozproszone nici dowodów, opartych na listach i dokumentach, usnuwszy z nich bardzo zajmującą i w nowe szczegóły bogatą monografię.

Leader rozpoczyna swoje opowiadanie od chwili wyładowania Maryi w Cumberland (1568 r.), gdy chroniąc się przed zbuntowanymi poddanymi, długie lata pędziła w troskach i cierpieniu. Bystrem spojrzeniem od razu poznała, że jakkolwiek straciła panowanie nad królestwem, jednakże uwięziona w Loch-Leven będzie na ziemi angielskiej ogniskiem powstania. Oddawszy się w ręce Elżbiety, postąpiła nieopatrznie; powinna była znać nieprzyjaciółkę i wiedzieć, że ta nie obdarzy jej nigdy wolnością. Elżbieta znajdowała się w położeniu trudnem. Marya bowiem była nietylko wygnaną królową, ale istotną dziedziczką angielskiego tronu. Jej przeciwniczka w oczach katolickich poddanych była spadkobierczynią z nieprawego łoża, a na tronie zasiadła dzięki jedynie specjalnemu aktowi parlamentarnemu. Z tego też powodu obecność Maryi w Anglii przypominała Elżbiecie ciągle jej pochodzenie i tworzyła niebezpieczeństwo zarówno dla tronu, jak i jej życia. Marya swych pre-

¹⁾ Mary Queen of Scots, in Captivity. Londyn.

tensyj nigdy się nie zrzekła a królowa Anglii nazbyt dobrze wiedziała, że niezadowoleni katolicy sprzyjać będą pretensjom jej współzawodniczek.

Lordowie, których gościnności powierzono Maryę, przyjęli ją jako na pół uwięzioną i zapytywali Elżbiety, co czynić mają. Ta ostatnia sądziła, że byłoby niepodobniestwem nie okazać Maryi przynależnych jej zaszczytów, lecz jednocześnie byłoby szaleństwem pozostawić ją na wolności. Lordowie prosili o wyraźne instrukcje, nie wiedzieli bowiem, jak właściwie obchodzić się z Maryą. Tego właśnie uniknąć chciała Elżbieta, pragnąc z jednej strony trzymać Maryę pod zamknięciem, a z drugiej — nie brać za to zupełnej na siebie odpowiedzialności.

Autor rozpisuje się głównie nad losami Maryi podczas jej piętnastoletniego pobytu w więzieniu. W początkach 1569 r. angielscy ministrowie postanowili nie uwalniać jej, ale zarazem obchodzić się z nią, względami, przynależnymi wysokiemu jej pochodzeniu. W tym też celu powierzono ją opiece znamienitego rodem i stanowiskiem męża. Lord Talbot, dzięki związkowi swym z trzema niezwykle kobietami, zdobył rozgłos historyczny. Temi trzema kobietami były: Elżbieta, jego królowa, Marya, jego więźni i Elżbieta Hardwicke druga jego małżonka. Każda z osobna zaprawiała życie Talbota trucizną i uczyniła go nieszczęśliwym, zdziaczonym starcem. Świetnymi rysami kreśli autor postać tego człowieka i jego ambitnej i przebiegłej żony, która, mimo skromnego swego pochodzenia, poczwórnym związkiem małżeńskim wyniosła się na najwyższe szczeble angielskiej arystokracji. Opiece tej pary powierzono Maryę 1569 r. Ze zwykłą sobie bystrością wybrała Elżbieta na opiekunów stanowisko Talbota hr. Shrewsbury. Jego posiadłości mieściły się w samym środku Anglii, a jego siedziba, Sheffield, odległa była od głównych dróg komunikacyjnych królestwa. Talbot posiadał dziewięć zamków, blisko siebie rozmieszczonych, a całe to terytorium pozostawało pod wpływem potężnego magnata. Marya przemieszczała naprzemiennie w tych zamkach, pozostając jednak zawsze pod silną strażą; pisywała i otrzymywała listy, które mimo ścisłej kontroli kryły w sobie plany zdradzieckie.

Najdotkliwszym było położenie Talbota, którego Elżbieta posadzała o nienawiść a Marya nienawidziła. Ciekawem jest rzucenie przy tej sposobności przez autora światło na oszczędność Elżbiety, która przeznaczyła na utrzymanie Maryi tylko 52 funty tygodniowo a i te nieregularnie wypłacała. Marya utrzymywała cały dwór i po pewnym czasie zredukowano jej otoczenie. Szpiedzy donieśli Elżbiecie, że Talbot zbyt jest dla Maryi względny; otrzymał nowe polecenie, aby obchodził się z nią surowiej. Podwoił więc czujność, wskutek czego znów spotkały go wyrzuty, że postępuje niedelikatnie z namaszczoną królową.

Niezależnie od tego królowa szkocka knuła spiski, a posiadała ona w tym kierunku nie zwykłą wprawę. Autor szczegółowo kreśli te matnie, które znane są zresztą, jakkolwiek dotychczas nie dowiedziano, że kierowała niem samodzielnie Marya. Sprzysiężenia te spłatała ona przy pomocy księcia Norfolk, któremu obiecała oddać swoją rękę. Główne intrygi wiazały się między Maryą a dworami francuskim i hiszpańskim. Roku 1584 zwolniono Talbota z jego obowiązków; Marya jednak w dalszym ciągu spiskowała.

Według Leadera, los Maryi byłby daleko znośniejszym, gdyby poprzestała na haftach, ulubionych ptakach i pieskach; wszelako temperament jej był z natury zbyt niespokojnym.

Elżbieta jednak, pożądaną jej śmierci, obawiała się wszelkich w tym kierunku

posadzeń i przy każdej niedyspozycji swej rywalki posyłała jej lekarzy. Mimo to, coraz bardziej ograniczała wydatki na utrzymanie, aż nareszcie wpadła na myśl, aby przejmować przysyłane Maryi, jako wdowie po Franciszku II, pieniądze z Francji. Zamiarowi temu Marya stanowczo się oparła, dowodząc, że dopóki królowa Anglii ją więzi, winna ponosić wszelkie z tego powodu wypływające koszty. Celem oszczędności ze strony Elżbiety było i to także, aby Marya wydając jak najwięcej pieniędzy na swoje i dworu swego utrzymanie, jak najmniej posiadała środków zarzucania darami swych przyjaciół.

Ostatnie dwa lata żywota Maryi są znane. Wiadomo, że zostawała pod strażą sir Pauleta i że z Babingtonem spiskowała przeciw życiu Elżbiety. Autor dowodzi najwyraźniej, że Marya umarłaby naturalną śmiercią, gdyby raz pogodziwszy się ze swym losem, pozostawiła całą sprawę naturalnemu jej biegowi. Nawet do r. 1571 Elżbieta nie zrzekała się zamiaru osadzenia swej krewnej na szkockim tronie. Marya sama działała na swoją niekorzyść i nie chciała uwierzyć, że monarchowie Europy, mimo częstego w jej obronie wstawianictwa, miecza w interesie jej nie dobędą.

W pracy Leadera znajdujemy wiele argumentów, broniących Elżbietę w stosunku jej do Maryi. Pewnem jest, że uwięzienie Maryi było niezbędnem dla spokoju Anglii. Nie usprawiedliwia jednak autor kary śmierci, jaką królowa szkocka poniosła, mimo to, że fakt ten mniej odskakiwał od obyczajów ówczesnych niż od naszych. Z tem wszystkiem Marya w przekonaniu umysłów, niekrytycznie sądzących dzieje, zawsze wyżej stać będzie od swej zwycięskiej rywalki.

Z.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Rocznik zbiorowy prac naukowych za rok 1880 (dokończenie, p. NNra 20 i 22 *Prawdy*).

P. H. Merczyng kilkakrotnie zabierał już głos w przedmiocie wychowania u nas, obecny więc jego artykuł w *Roczniku*, przedstawiający „Projekt urządzenia gimnazjum wołyńskiego i wszystkich innych szkół w gubernii wołyńskiej — Kołłataja i Czackiego” nie jest pierwszym ogniwem w łańcuchu prac młodego autora. Zdaniem jego trzy ustawy w dziejach naszego szkolnictwa są głównymi punktami zwrotnymi: Komisja Edukacyjnej, Wielopolskiego i wspomniany „Projekt.” Dwie pierwsze, jako znane i do założenia nienależące, p. M. pomija i zastanawia się szczegółowo nad trzecią. Podaje nie tylko historię projektu, ale powtarza całą jego zawartość a nawet w osobnych tablicach dołącza szczegółowy rozkład nauk. Niepodobna nie podzielić z autorem gorącego uznania i rozległych nadziei, jakimi czci ów program dwu sławnych mężów w jego granicach historycznych. Skarga p. M. w przypisku na zaniedbanie szkoły krzemienieckiej w naszym piśmiennictwie jest, niestety, nader słuszną.

H.

O pęcherzu moczowym (*vesica urinaria*). napisał Dawid Wasserzug stud. V kursu wydziału lekarskiego.

Praca p. Wasserzuga jest rozprawą konkursową, napisaną w celu uzyskania medalu. Stosownie do zadanego tematu, autor główną uwagę zwrócił na trzy punkty: na zmianę położenia pęcherza przy rozmaitym stanie jego napęśnienia, na jego osłonę mięśniową i powięź. Przez dodanie do tego innych anatomicznych szczegółów,

powstała zupełna i bardzo wyczerpująca monografia pęcherza. Treści jej, jak wogóle monograficznych prac, podawać nie podobna; zaznaczymy tylko, że większą jej część, a mianowicie odnoszącą się do trzech powyższych punktów, opracowana jest na podstawie samodzielnych i licznych poszukiwań autora. Skutkiem tego przeważnego skupienia uwagi na zmianę położenia i powięzi pęcherza, rozprawa p. W. nosi na sobie cechę pracy anatomotopograficznej, stosowanej do chirurgii, co, jak się zdaje, leżało i w celu samego tematu. Pozostałe szczegóły, jak: budowa błony śluzowej, rozkład naczyń i nerwów stanowi tylko część dodatkową i oparta jest na badaniach innych autorów. Wartość wywodów p. W. polega, mojem zdaniem, głównie na tem, że autor w najważniejszych kwestiach nie pisał nie, nie zbadawszy samemu rzeczy dokładnie, skutkiem czego praca nie jest kompilacyjną ale ściśle oryginalną. Przy tylu poprzędkach trudno jest w anatomii dzisiaj cośkolwiek nowego odkryć, i zadanie badacza polega więcej na należytem usystematyzowaniu i opisanu szczegółów, co jednak bez gruntownych poszukiwań jest niemożliwe. Wiedział o tem p. W. i dla tego dużo poświęcił czasu na badanie, zanim do opisu przystąpił. Prócz tego cała literatura uwzględniona została bardzo obszernie, co w połączeniu z samodzielnymi opisami sprawia, że rozprawa p. W. jest najobszerniejszą w naszej literaturze monografią pęcherza i tak dla anatomów jak i chirurgów będzie pożądanym nabytkiem.

Dr. T. D.

LIBERUM VETO.

Zużytkowanie kandydatów do posad sądowych. — Jeśli jedni nie chcą, drudzy nie mogą, przyjdą trzeci. — Grosz i rubel. — Naczelnicy z gub. wileńskiej. — Przygody na Saskiej Kępie. — Grandownley. — Miejsce dla strzelającego zadowolenia. — Waż i Ewa. — Cztero wierszowi i ośmiowierszowi. — Zemsta *per procura*. — Burza nad głową p. Orzeszkowej. — Przemiana literackich gatunków w Wilnie. — Pokwitowanie dla p. Bestużewa-Riumina.

Czy godności sędziów gminnych mają piastować miejscowi obywatele z wyboru, czy kandydaci do posad sądowych z urzędu? — oto pytanie, które obecnie ubiega się o zajęcie przez chwilę naszej uwagi i może ją nawet zajmie. A wtedy światek nasz rozdzieli się na dwa stronnictwa, którym hasło do walki dał p. prezes Sądu Okręgowego warszawskiego, poradzawszy kandydatom, oblepiającym jak opilki magnes tej instytucji, ażeby przyjmowali obowiązki sędziów gminnych, mianowanych z urzędu. Radę tę wywołała podobno rejterada inteligencji miejscowej z posad sędziowskich. Ponieważ jest to po naszymu, więc ze stanowiska obyczajów nie mam nic do nadmienia uciekinierom, pod warunkiem, że żaden z nich nie splodzi nawet na użytek sąsiada elegii, oplakującej „bezwładność przymusową” i „wyparcie żywiołów swoich.” Co do samej instytucji następująca zasada godzi, jak sądzę, najsprzeczniejsze zdania, mianowicie: na stanowisko sędziego gminnego pożądanym jest człowiek moralnie i umysłowo tej roli godny. Czy zaś on będzie wybrany, czy zamianowany — jest to względ drugorzędny. Trudno chyba zaprzeczyć, że jeśli nikt z wyboru nie chce przyjąć obowiązków sędziowskich lub spełniać je ma źle, ktoś musi je wziąć z urzędu i może spełniać dobrze. Jeżeli zaś ów ktoś nie będzie kandydatem do posad sądowych, to z jakiejże sfery ma wyjść? Z dymisjonowanych wojskowych lub pisarzy cyrkulowych? W gminie jakiejś jest p. X., człowiek uczciwy i rozumny, ale „djabli mu potem,” obok niego p. Y., który radby włożyć na szyję

łańcuch, ale posiadający — mówiąc żargonem prawniczym — stroną czynną i bierną; jednocześnie w kancelaryi Sądu Okręgowego puszcza misterne kółka z dymu papierosowego młody i zdolny kandydat do posad sądowych, który bardzo dobrze mógłby wyręczyć nie tylko dymysonowanego podporucznika lub kancelistę cyrkulowego, ale nawet pp. X. i Y.; dla czegoż więc on nie ma zostać sędzią gminnym?

Dla czego? Istnieje bardzo ważny powód, chociaż nie w naturze tej instytucji, ale raczej w naturze całego naszego życia, które zesrodkowało się w Warszawie. Poradźcie świeżo wygłemu lekarzowi, prawnikowi, nauczycielowi, ażeby pojechał na prowincję, odpowie wam: wolę tu grosz, niż tam rubel. A tak woli większość; nie też dziwnego, że często biedna prowincya dostaje od nas takie fanty, z którymi nie umie sobie poradzić; jeśli zaś sobie radzi, to tak, jak z naczelnikami w guberni wileńskiej, o których donosi korespondent *Wieku*.

Z obawy, ażeby ci bohaterowie nie zostali przypadkiem sędziami gminnymi tam, gdzie obywatele miejscowi Temidą się brzydzą a kandydaci do posad sądowych kapłaństwa w jej świątyni nie są godni lub przenoszą grosze nad ruble, przedstawiam ich tu według podanego rysopisu. Pocztalter w pow. lidzkim zaniósł skargę do hr. Totlebena o szereg nadużyć, których dopuścił się względem niego naczelnik powiatu Lewnadszki. Delegowano na śledztwo urzędnika, który znalazł wszystko w porządku. Tymczasem pocztalter wystąpił z nowym zażaleniem o otrucie mu piętnastu koni. Możeby i teraz nie odnaleziono końców sprawy, zręcznie rzuconych w wodę, gdyby p. naczelnik nie zaryzykował się zbyt znacznie i nie skradł drugiemu delegatowi akt śledczych. Tego było już za wiele dla najcierliwszej pod słońcem władzy. Wzięto się też do winnego energicznie i wykryto w jednej z nim kniei dwu innych naczelników, (pow. trockiego i oszmiańskiego), pp. Oleszkiewicza i Spontego, którzy razem zasiedli na ławie oskarżonych i prawdopodobnie w tej chwili nie myślą nawet o zastąpieniu naszych „nieobecnych“ na posadach sędziów gminnych. A jednak mogliby oni oddać nam niewątpliwie usługi, gdyby np. poświęcili się straży bezpieczeństwa nad Saską Kępą, na której restauratorzy i „grandownicy“ zaczynają wyprawiać złośliwe figle. Pewne towarzystwo (jak opisuje jeden z jego członków w *Nowinach*) chcą użyć świeżego powietrza, wynajęło sobie restaurację „Pod różą.“ Po północy do bawiącego się grona przybywają pijane figury, których gospodarz rekomenduje jako „grandowników“ i radzi traktować ich grzecznie, gdyż rycerze ci, zdraśnięci w swym honorze, zabierają zwykle portmonetki i zegarki. Na szczęście niebezpieczni goście oddalają się. Po skończonej zabawie, gdy całe grono poszło do przewozu, jeden z biesiadników pozostał dla zapłacenia rachunków. Tak się nie robi na Saskiej Kępie. „Restaurator z „Pod różą“ — opowiada autor tej Odysei — znalazłszy się sam na sam z p. S. B. zaczął mu rachować inaczej, niż się umówił.“ Naturalnie wszelki targ „sam na sam“ byłby daremny; schwytany też majówkowiec zapłacił, co żądano, i puścił się za towarzystwem. Nagle za restauracją rozległo się gwizdnięcie, — „grandownicy“ otoczyli nierostropnego warszawianina i dowiódłszy naprzód siły swych pięści, odartego i pokrwawionego puścili, ażeby świadczył o bezpieczeństwie majówek na Saskiej Kępie, która jeszcze nie zaprenumerowała sobie ani jednego stróża porządku publicznego. Już teraz nie zdziwiłbym się wcale, gdyby jaki przełożnik rzekł na środku Wisły swym pasażerom: „oddać, co jest, bo inaczej plusk w wodę i po paradzie.“ Wobec takich możliwości, czy niebyłoby stoso-

wnem wynajmować sobie na majówki po rocie żołnierzy, tak jak wynajmuje się ich do żniwa lub koszenia. Bo dopóki p. naczelnik straży ziemskiej, czuwający nad Saską Kępą, nie postawi na „grandowników“ jakiego stracha, mile te ptaszki będą ciągle robiły szkodę w naszych kieszeniach. Pewien urzędnik kolei petersburskiej dwa razy jednego dnia, w cyrku i restauracji, strzelił z rewolweru na znak... zadowolenia. Czy nie możnaby go poprosić, ażeby to swoje zadowolenie objawiał na Saskiej Kępie, wśród „grandowników“?

Obowiązany do mówienia *prawdy*, muszę przed wami, czytelnicy, zdradzić jedno zmartwienie naszej literatury, którego przyczyną stał się p. Chmielowski. Wątpię, skuszony przez wileńską Ewę, pobrywał owoce z literackiego drzewa wiadomości złego i dobrego, które na nim wyrosły w ciągu ostatnich lat szesnastu, i zgromadził je nadkaszane w świeżo wydawnym przez p. Orzeszkową *Zarysie*. Nie miałem odwagi zajrzeć jeszcze do tej książki, z którą Was osobne sprawozdanie poznał, bo odstrasza od niej głuchy szmer literackiego Olimpu. Niezadowoleni twierdzą, że autor jednym poświęcił za mało wierszy, a drugim za dużo. Uszy moje przyjęły już kilka tego rodzaju zażaleń.

— Bo przynajmniej sam — mówił jeden z pokrzywdzonych — czy sumienny krytyk mógł mnie zbyć czterema wierszami, a ...skiemu poświęcić osiem?

Gdyby owe cztery można było dodać do ośmiu i dwanaście podzielić na dwie równe połowy, zaradziłoby się biedzie iniewątpliwie p. Chmielowski przy drugim wydaniu swej książki tę równomierność uwagi zachować; ale dziś niema żadnego ratunku. Kto dostał cztery wiersze, niech się martwi czterema, a kto osiem — niech się cieszy ośmioma. Gorsze zło w tem, że wśród czterowierszowych objawiła się nienawiść do ośmiu — i więcej wierszowych, która może oddziaływać niekorzystnie na nasze stosunki literackie. Nie zrachowałem jeszcze, ile na mój dział przypada, w każdym razie błagam bardziej odemnie upośledzonych, ażeby mi nie policzyli cudzej winy. Jeżeli zaś wstydzą się upomnieć o własną krzywdę a pragnęliby się pomścić na niesprawiedliwym autorze, podam im wyborny środek. Pawłowi nie wypada powiedzieć publicznie: „p. Chmielowski lekkomyślnie pominął Pawła“, ale wypada mu ująć się za Janem, Onufrym, Kajetanem, którzy znowu jemu nawzajem oddadzą tę samą usługę. Tym sposobem każdy będzie pomieszczony *per procura*.

A teraz niech pani Orzeszkowa przygotuje się na nowy zarzut, że jej działalność wydawnicza w Wilnie jest szkodliwą. I Konopnicka, i Chmielowski i wszyscy święci warszawscy, którzy na miejscu sprawują się bardzo dobrze, wyjechawszy do Wilna ulegają wpływowi czarta i piszą takie rzeczy, na które nam tu żółć się wylewa. Co to jest? czemu to się dzieje? Czasem napada chęć wierzyć, że gdyby p. Jeleński napisał broszurę do wydawnictwa p. Orzeszkowej, gotów byłby bronić w niej Żydów, a ks. Nowodworski wysławiać Büchnera.

W końcu pozwólcie mi dołączyć do dzisiejszego *Liberum veto* mały kwit, z prośbą o podpisanie

„Niniejszem kwituję p. Bestużewą-Riunina w imieniu własnem i moich czytelników z wszelkich przeszłych, obecnych i przyszłych pretensyj do Cyryla i Metodego, których to mężów katolicy mieli sobie przywłaszczyć i których odzyskał w osobnym odczycie wspomniany uczonec.“

Jeśli potrzeba poręczy i za potomstwo

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Biedny Słonim!

Nie chciał dać na szkołę, dać musi na pogorzelców.

P. Barkłowski, prezydent tego miasta, podjął myśl założenia gimnazjum, zamiast istniejącej szkoły powiatowej. Projekt wszakże spełził na niczem. P. B. — jak donosi korespondent *Wieku* — szukał poparcia u marszałka powiatowego, obiecując 25.000 rs. rocznej zapomogi z kasy miejskiej i sumę niezbędną na pierwsze potrzeby zakładu, ale bezskutecznie. Słonimski marszałek powiatowy, na którego bardzo liczone, ostatecznie oparł się opodatkowaniu na ten cel posiadłości obywatelskich po kopieje z dziesięciny, tak że gubernator, w braku ręką pieniędzy, zatałował dalszy bieg sprawy. Korespondent odmowę marszałka tłumaczy tem, że odpowiedniego funduszu na utrzymanie gimnazjum rada słonimska asygnować nie jest w stanie, wobec upadłej gospodarki miasta.

Przyszła jednak klęska, która do kieszeni możnych zapukała gwałtowniej — Słonim się spalił. 900 (?) domów, według telegramu, zgorzało. Gmachy publiczne i prywatne, kościoły, synagogi, cerkwie — wszystko sterczy na pogorzeli i woła o pomoc.

Okropna to klęska, wobec której błędna, coraz częstsze wieści o pożarach, dochodzące nas z różnych stron kraju. W ostatnich dniach ucierpiał najbardziej Szczecyn w gubernii łomżyńskiej, gdzie spłonęło kilkadziesiąt domów, między innymi biuro powiatu, sąd pokoju, apteka i t. d. Straty znaczne. Gdy dodamy, że kilkanaście chałup spaliło się w Częstochowie, całe miasteczko Lubim przy drodze nadwiślańskiej, a w końcu kilka wiosk lasu pod Jabłonką — to mimowoli zawołamy: losie, za co nas karzesz?

* * *

Z Częstochowy donoszą o coraz częściej powtarzających się tam wypadkach jakichś tajemniczych strażów, wynikłych podobno z podrzucania paczek wybuchowych. Usiłowano nawet zniszczyć kościół jasnogórski, organista jednak płonący pocisk spostrzegł i kościół ocalił.

W zeszłym tygodniu w Wiślicy (pow. pińczowski) ukazało się kilka egzemplarzy świstka, stającego w obronie jakoby zagrożonych interesów „braci katolików“ i pełnego pogroźek dla żydów. Jeszcze głupstwo żyje, ale słabnie.

Gdzieniedzie tylko w kraju dają się słyszeć lekkie pogroźki poważnych wypadków, które jednak obudzają jedynie śmiech i ciekawość naszego ludku prowincjonalnego zamiast zaniepokojenia, na co zapewne ktoś liczył.

Garstka chrześcian wiślickich — powiada *Gaz. Kiel.*, notująca to zdarzenie, — chodzi spokojnie koło roli, a żydki szyją kozuchy, jak jedni, tak drudzy, dalecy od wszelkich zemst i zawiści plemiennych.

* * *

Radom otrzymał w tych dniach pożadaną instytucję. Otworzono tam mianowicie kasę pożyczkową dla rzemieślników z kapitałem zakładowym 700 rs. i wkładowym 2.000 rs. Na kasę tę miasto zdobywało się przez lat kilka. Powolne kołatanie miejscowej inteligencji do władz właściwych otrzymywało też powolne obietnice, które dopiero w roku bieżącym ubrały się w piękną suknię spełnionego faktu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 9 czerwca.

Uwaga Europy, przyzwyczajona do trzasku bomb dyplomatycznych, do oslepiających rakiet politycznych, pomija często fakty, nad którymi zastanawia się a nawet pomysleć warto. Takim drobnym, ale wymownym faktem była mowa posła Liebknechta (socjalisty) w sejmie niemieckim. Niejednokrotnie zaznaczaliśmy, że ks. Bismark, przeprowadziwszy zręcznie prąd czasu na koło swej polityki i oparłszy się na idei Lassale'a, marzącego, jak wiadomo, o przekształcenia społecznych dróg prawodawczą, zaczął na swój sposób urzeczywistniać plany owego socjalistycznego przyjaciela. Było to z jednej strony zręczne zapanowanie nad potężnym ruchem a z drugiej rozbrojenie najwytrwalszych a przez to niebezpiecznych przeciwników. Otóż poseł Liebknecht poświadczył publicznym wyznaniem domysły i przebiekiwania, które od pewnego czasu brzęczały koło uszu Bismarka. Oznajmił on w sejmie, że jego partya solidaryzuje się w zupełności z znowem prawem, ubezpieczającym los robotnika i że „nie socjaliści są w ręku kanclerza, ale on w ich ręku.“ Deklaracya ta zrobiła wielkie wrażenie w Izbie, chociaż nie zaskoczyła jej znienacka. Niemieccy bowiem junkrzy odpędzali od siebie natrętą, myśl i dopóki mogli, nie uświadamiali w sobie przekonania, że ich wódz rozstawił wielkie krosna, na których utkać pragnie państwowo-socjalistyczną osnowę. Teraz wszakże urzędowy przedstawiciel socjalizmu wydał już Bismarkowi formalny patent na ten przemysł. Zastępcę, będzie to ciekawy obraz, jeśli go warunki dokończyć pozwolą.

Polityków, zobowiązanych do napełniania szpalt dziennikarskich „chmurami na widnokręgu Europy“ z wielkiego kłopotu wybawił Gambetta swą podróżą do Cahors i agitacyą na korzyść głosowania z listy. Jest to bowiem w obecnej ciszy jedyny przedmiot, po którym skrzypią gęsie i orle pióra publicystów. W braku nowego materiału wytworzył się między gazetami rodzaj zakładów, walczących (za cenę niemożliwości wrócenia) o to, czy prawo przyjęte przez Izbę, zwycięży lub upadnie w Senacie. Są nawet politycy roztropni, którzy jednego dnia prorokują tak, drugiego—inaczej, zapewniając sobie tym sposobem możliwość powołania się na swoje jasnowidztwo. Chwalebny ten sposób przedostał się i do naszej prasy, może mimo jej woli i wiedzy, gdyż zmieniając swe źródła, zmienia zarazem poglądy. Przyznać wszakże trzeba, że większość dziennikarskich cyganek, przypatrując się dłoni francuskiego prezydenta Izby, przepowiada mu polityczną fortunę. Jedna nawet z gazet warszawskich, nadająca sobie powagę protekcyjnością i klepaniem po ramieniu znakomitych mężów stanu, wyraziła co do Gambetty bardzo życzliwą nadzieję: „jest młody — powiada — ma więc, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przyszłość przed sobą.“ Niezależnie od tej ojcowskiej wróżby, sądzymy, że jej autor poprzestałby już dziś na teraźniejszości p. Gambetty. Ile razy słyszymy podobnych Lemoine'ów, zawsze nam się zdaje, że widzimy filistra z lunetą, który patrząc na księżyc w pełni, mówi z dumą: tak, niezła może być z niego taca...

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Wystawa ogrodnicza zapowiadana przez Muzeum przemysłowe na miesiąc czerwiec

zostaje odłożona z przyczyn niezależnych od muzeum na czas nieograniczony.

— Wystawa bydła i koni otwartą zostaje w Warszawie w d. 11 b. m.

Akademia. W Akademii umiejętności w Krakowie odbyło się d. 20 z. m. posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem prezesa Akademii, dra Majera. Sekretarz wydziału, profesor dr. Kuczyński wyłożył treść rozpraw nadesłanych przez p. Witkowskiego i profesora d-ra Fabiana; pierwsza pod tytułem: *O wpływie odkształcenia na przewodnictwo elektryczne*, druga: *Zasada momentów przyspieszonych*; tudzież odczytał ocenę rozprawy profesora Fabiana, nadesłaną przez członka Akademii prof. Strzeleckiego, a następnie przedstawił rozprawę p. Kamockiego, nadesłaną przez prof. Hoyer z Warszawy: *O tak zwanym gruczole Hardera u gryzoniów*. Następnie Wł. Kretkowski wyłożył treść swej rozprawy pod tytułem: *O niektórych wzorach rachunku różniczkowego*. Nakoniec prof. Janczewski wyłożył treść rozprawy nadesłanej przez d-ra Godlewskiego pod tytułem: *Studia nad oddychaniem roślin*.

— W Akademii umiejętności w Krakowie na posiedzeniu komisji archeologicznej, odbytem w d. 27 z. m. debatowano nad dalszem wydawnictwem *Zabytków przedhistorycznych*. Następnie p. T. Ziemecki odczytał obszerną rozprawę o przedmiotach złotych, wykopanych w Fokoru i Fayer (na Węgrzech), oraz w Aspromonte i o innych gallickich, które uważa za identyczne ze skarbem michałowickim.

Konkurs. Konkurs o nagrodę imienia d-ra Chałubińskiego został już rostrzygnięty. Nagrodzonem zostało dzieło d-ra Pieniążka z Krakowa p. t. *Laryngoskopia i choroby krtani i dychawic*.

Literatura polska. *Biblioteki umiejętności prawnych* zeszyt 66 zawiera ciąg dalszy pracy prof. dr. Antoniego Okolskiego p. t. *Wykład prawa administracyjnego*.

— W Krakowie wyszły świeżo dwie broszury: *Gleichenberg w Styrii* przez dr. Edwarda Brühla i *Cieplice Tenczyńskie na górnych Węgrzech* przez dr. Stefana Filipkiewicza.

— Drukiem i nakładem drukarni Adolfa Studenckiego i spółki wydję wkrótce: *Ogólna taryfa celna handlu europejskiego dla komór Cesarstwa Rosyjskiego i Królestwa Polskiego*.

— Wyszło z pod prasy dzieło p. Juliana Łapickiego p. t. *Stosunki gminne w Królestwie Polskiem i właściwy kierunek ich rozwoju*. Jest to odbitka z *Ateneum*.

— Siemieńskiego Lucyana *Dzieł zbiorowych* wyszedł tom czwarty i zawiera *Portrety literackie* (Franciszek Morawski, Stanisław Trębecki, Franciszek Wężyk i Andrzej Edward Koźmian).

— Wyszła z druku treściwa *Historja handlu powszechnego z dodatkiem o przemyśle i handlu w Polsce i Rosji*, opracowana przez p. St. Czarnowskiego.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, wyszło dzieło Gustawa Tissandier p. t. *Męczennicy w imię nauki*.

— *Historji filozofii materialistycznej* F. A. Langego zeszyt VI opuścił prasę.

— *Encyklopedia wychowawczej* wyszedł z druku zeszyt pierwszy tomu drugiego i zawiera następujące monografie naukowe: *Baselowa, Bazyl Wielki, Beaumont, Beauvais, Beda, Belfer, Belgia, Bell i Lancaster, Benecke i Bentham*.

— *Słownika geograficznego polskiego* zeszyt 18 wyszedł z druku i obejmuje wyrazy od *Frampol* do *Galuszowiec*. Z większych artykułów zeszyt ten zawiera obszerny opis Galicji, oraz szczegółowe opisy miejscowości *Frydland, Fyszhusa, Gać, Gaj, Galindya*.

— Nakładem p. E. Orzeszkowej wyszły w dalszym ciągu następujące dzieła: *Edmunda Jankowskiego, Wady naszych sądów; Piotra Chmielowskiego, Poezya w wychowaniu; Michała Bałuckiego, Typy i obrazy krakowskie; Piotra Chmielowskiego, Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu*.

— *Słownik terminologii lekarskiej polskiej*, wydanie nakładem Towarzystwa Lekarskiego krakowskiego w pierwszej połowie lipca r. b. Zawierać on będzie: 1) Tłumaczenie polskie wyrazów łacińskich, niemieckich, francuskich i niektórych angielskich; 2) Przekład wyrazów polskich na język łaciński i niemiecki lub francuski.

— *Pana Tadeusza* z ilustracyami Andriollego wyszedł zeszyt drugi.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawie warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły dzieła następujące: *Daszyńskiego Stanisława: Janko z Nie-*

miryca Jaksy; Konopackiego Jana: Przed burzą; Szwojnickiego Romana: Karabela czy szablą?; Szolca Kazimierza: Widok z okolic Anzio.

Teatr. Teatrzyki ogródkowe wystąpiły już z kilku nowościami, które starają się ożywić swój dość już spowszedniały repertuar. Trupa poznańska w Bellevue wystawiła po raz pierwszy operetkę czterooaktową Straussa p. t. *Koronkowa chusteczka*, która w Niemczech cieszyła się wielkim powodzeniem, i oryginalną komedję L. Świderskiego p. t. *Ojcowizna*. W Alhambrze wystawiono komedję znanej spółki literackiej francuskiej, pp. Najac i Hennequin, p. t. *Mąż Idy*. Wreszcie w Eldorado odegrano po raz pierwszy komedję tłumaczoną z francuskiego p. t. *Papa*.

Nekrologia. Jakób Bernays, jeden z najznakomitszych filologów współczesnych, prof. uniwersytetu w Bonn, umarł w d. 27 z. m. w temże mieście.

— Henryk Vieuxtemps, znakomity skrzypek belgijski zmarł w d. 6 b. m. w Algierze, gdzie bawił dla poratowania zdrowia.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Maryi Olsz. Pieniądze pod wskazanym adresem odesłaliśmy.

P. Janowi Kiersn. Już raz wysłaliśmy; wysłamy ponownie.

Dr. Jaluwieckiemu w Kudeczach. Kwartał I *Prawdy* wyczerpany, przypadająca za niego opłata zapisaliśmy na rok przyszły.

P. A. R. w Rakiszkach. Wydawca Langego odpisze.

OGŁOSZENIA.

ZYTO S-to JAŃSKIE

do siewu, w wyborowem ziarnie, poleca
SKŁAD NASION
Wasilewski & Kaniewski
W WARSZAWIE
ulica Nowo-Senatorska Hotel Litewski.
2—2

Nakładem Wydawnictwa Bernarda Lesmana
wysła i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

F. A. Langego,
HISTORIA FILOZOFII

Materialistycznej
i jej znaczenie w teraźniejszości. Tom 1-szy ukończony, tłumaczył Aleksander Świętochowski, Tom II-gi, którego I-szy zeszyt (z kolei 6) opuścił prasę, tłumaczył Feliks Jezierski.

Cena za dwa tomy rs. 6.

3—2

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku i stanowiący albo osobną książkę albo część dzieła większego.

Wydawca Historji Filozofii Materialistycznej Langego, wysła przy dzisiejszym numerze *Prawdy* 6-ty zeszyt tegoż dzieła dla naszych abonentów.

Do dzisiejszego numeru *PRAWDY* dołącza się prospekt **Przeglądu Bibliograficznego**.

Sprostowanie. W poprzednim nr-ze *Prawdy*, str. 273, szp. 2. w przypisku zamiast „Pismach poważniejszych“, czyt. „Pismach pomniejszych.“